This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.

- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.

- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.

- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich dzialań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:		Z PRZES. POCZT.:	
Rocznie (52 tomy) rb.	10	Rocznie (52 tomy) rb.	12
Półrocz. (26 tom.) „	5	Półrocz. (26 tom.) „	6
Kwartal. (13 tom.) „	2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „	3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.			

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR: **ZDZISŁAW DĘBICKI.**

WYDAWCA: **KAZIMIERA GADOMSKA.**

Redakcya i Administracya Warszawa, Warecka 14.
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70. Tel. 27-73.

№ 527.

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

Juljusz Falkowski.

WSPOMNIENIA

Z ROKU

1848 i 1849

z przedmową

Tadeusza Grużewskiego.

CZĘŚĆ I

Cena 40 kop.

W prenum. 30 ½ kop.

WARSZAWA

Redakcya i Administracya Warecka 14. Tel. 114.3

1908.

DK4365
F34
v.1

WSPOMNIENIA Z R. 1848 i 1849.

Juljusz Falkowski.

WSPOMNIENIA

Z ROKU

1848 i 1849

z przedmową

Tadeusza Grużewskiego.

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1908.

BIBLIOTEKA
Państw. Instytutu
Kultury Wsi
Katal. Nr.
Inwent. Nr. 2860

1152

PRZEDMOWA.

Rok 1848 i następny, to momenty przełomu w ruchu polityczno-społecznym, który od wielkiej rewolucyi tlił bezustannie w gmachu odrestaurowanej Europy, wybuchając od czasu do czasu częściowemi eksplozyami, aż przed laty sześćdziesięciu znalazł wyraz w wielkim huraganie rewolucyjnym. Państwa Europy zachodniej zadrżały w swych posadach, a kiedy przeszła burza, okazało się, że zarówno stary świat, jak i jego przeciwniczka, myśl rewolucyjna, uległy głębokiemu przeobrażeniu, że prostota koncepcyi politycznych z pierwszej połowy ubiegłego wieku, oraz prostolinijność dążeń należy już odtąd bezpowrotnie do przeszłości. Rzeczywistość rozwiała złudzenia, których punktem szczytowym była „wiosna ludów" i chociaż jej hasła długo jeszcze rozbrzmiewały po przestrzeni Europy, nie odzyskały już nigdy tej cudownej władzy nad sercem i umysłami ludzkimi, jaką posiadały w „szalonym roku".

Już rewolucya francuska w okresie walki z monarchiczną i stanową Europą wyszła z granic jednego narodu: orły republikańskie, a nawet cesarskie niosły ludom nowy porządek rzeczy, który wywodził się z zasad rewolucyi. Zwycięzka reakcya nie zadowoliła się restauracyą tronu Burbonów, ażeby spętać należycie hydrę rewolucyjną, święte przymierze rozciągnęło nad całym lądem europejskim baczny dozór, tłumiąc nietylko otwarty bunt przeciw istniejącej władzy, ale i wszelki objaw nieprawomyślności. „Konieczną jest rzeczą—mówił do Chateaubrianda cesarz Aleksander I—ażeby monarchowie w nieustannem przymierzu pomiędzy sobą zostawali, chcąc powstrzymywać wspólnemi siłami dążenia narodów; powinni przeto trzymać się jednej tylko polityki, która nie ma być ani angielską, ani francuską, ani rosyjską, ani pruską, ani austryacką, lecz tylko jedną, powszechną. Zachowaniem się swojem względem Grecyi pokazałem, że zdolny jestem iść za wskazówkami takiej powszechnej polityki. Wiele okoliczności pchało mnie do wojny z Turcyą, a zwłaszcza opinia publiczna w mojem cesarstwie; lecz, dostrzegłszy w zamieszkach półwyspu peloponeskiego żywioł rewolucyjny, powstrzymałem się od niej".

Legitymizm świętego przymierza rozciągał się tedy nawet na władzę sułtana tureckiego w stosunku do chrześcian Greków, którzy dopiero po pięciu latach bohaterskiej walki z Turkami doczekali się interwencyi europejskiej.

Przeciw międzypaństwowej potędze legitymi- i starego porządku stawała do boju międzyowa potęga rewolucyi. To były dwa główne

obozy, na jakie dzieliła się Europa kontynentalna i jakkolwiek ani jeden, ani drugi nie był bynajmniej jednolitym, jakkolwiek w jednym i drugim było dość antagonizmów i sprzecznych dążeń, jakkolwiek nawet od czasu do czasu sam patryarcha reakcyi europejskiej, Metternich, umiał za plecami swych oficyalnych sojuszników konspirować z rewolucyonistami i buntownikami, jednak w świadomości ówczesnej Europy utrzymywał się powyższy zasadniczy podział. Z jednej strony stały monarchiczne rządy, oraz stany uprzywilejowane, z drugiej—ludy. Walka klasowa na podłożu ekonomicznem nie dochodziła jeszcze do świadomości inteligencyi europejskiej, socyalizm nie miał bynajmniej tego charakteru co obecnie, będąc raczej idealnem marzeniem szlachetnych jednostek, nie zaś wyrazem nieubłaganego antagonizmu pomiędzy najmitami, a klasami posiadającemi. Rewolucya europejska miała na całym lądzie Europy dokonać dzieła swej poprzedniczki rewolucyi francuskiej; miała obalić absolutyzm, zaprowadzić wszędzie rządy konstytucyjne lub republikańskie, prócz tego miała obalić wszelkie przywileje stanowe w myśl haseł wolności, równości i braterstwa.

Pierwsza połowa ubiegłego wieku była dobą wzrostu uczuć i dążeń narodowych, ale rewolucyjna demokracya europejska nie uznała antagonizmu pomiędzy samymi narodami, pomiędzy ludami. Według jej ówczesnych pojęć niewola i ucisk, jakie dotychczas były udziałem wielu z nich, wynikają tylko z winy rządów, są następstwem dawnej militarno-zaborczej organizacyi państwowej i nie znajdą więcej miejsca w europejskiej rodzinie ludów. Zwy-

cięztwo wolności rozwiąże, a raczej usunie kwestyę narodowościową.

Wśród wielkich państw europejskich jedyna tylko Anglia kroczyła odrębną drogą, po za świętem przymierzem, czerpiąc z europejskiego ruchu wolnościowego potężne środki do szachowania przeciwników w swej własnej polityce zagranicznej. Ona to udaremniła plany świętego przymierza, które zbrojną ręką chciało przywrócić panowanie Hiszpanii w Ameryce, ona podała rękę rewolucyi portugalskiej jak również i powstańcom greckim. Ale polityka europejska była dla Anglii tylko środkiem do utrwalenia i zabezpieczenia handlu, oraz panowania na morzu; w sprawach kontynentalnych nie ona decydowała, lecz wielkie monarchie lądowe, rozporządzające dostateczną siłą wojskową.

Przeważna część naszej emigracyi uznała, że sprawa polska jest w najściślejszym związku ze sprawą wolności europejskiej, że Polska niczego nie może oczekiwać od przedstawicieli starego porządku, od rządów i dyplomacyi, że tylko zwycięztwo i wyzwolenie ludów europejskich i jej przynieść musi wolność i odrodzenie. Wiadomo, jak popularną była w postępowej opinii europejskiej sprawa polska, jak wiele dowodów gorącej sympatyi zbierali wychodźcy nasi na obczyźnie.

Wiktor Heltman tak opisuje wrażenie swe podczas przechodu polskich emigrantów przez Niemcy:

„Wtenczas to po raz pierwszy uczuliśmy, czem jesteśmy; za jak wielką, powszechną walczyliśmy sprawę... I rozumieliśmy, że misyą naszą jest przewodniczyć ludom w ich walce przeciw ujarzmieniu.

I byliśmy gotowi przelać krew naszą za każdą wolności sprawę. Powiedzieliśmy więc sobie: „przez ludzkość dla Polski“.

To jest nuta górująca w głosach naszej emigracyi.

Odezwa T-wa Demokratycznego z r. 1832 mówi: „przyszłość“ Polski zależy od przyszłości ludów europejskich“.

Myśl polityczna naszej emigracyi rozwijała się w atmosferze, której naczelnym czynnikiem było zasadnicze przeciwieństwo pomiędzy starym a nowym, nadchodzącym światem: walka rozstrzygająca wydawała się blizką, a wiara w postęp ludzkości i w zbawczą moc haseł rewolucyi nie pozwalała wątpić o wyniku tej walki.

Nadszedł rok 1848. Już w lutym runął tron Ludwika Filipa, w marcu kapitulowały trony w Wiedniu i w Berlinie. Wicher rewolucyjny z taką łatwością obalał mury obronne starej Europy, że najśmielsze marzenia zmieniały się w rzeczywistość. Cały Zachód już był w mocy rewolucyi; dopiero u granic Rosyi stała na drodze potężna baryera, która jej impet wstrzymała.

P.A.N.

„Po błogosławieństwie długiego pokoju — tak brzmiał manifest cesarza Mikołaja I—Zachód Europy nagle wstrząśnięty teraz został rozruchami, grożącemi obaleniem władz prawowitych i wszelkiego porządku społecznego. Zacząwszy się we Francyi, bunt i bezrząd przeszedł do Niemiec i sprzymierzonych z nami Cesarstwa Austryackiego i Królestwa Pruskiego, a nie znająca granic zuchwałość zagraża obecnie i naszej, od Boga nam powierzonej, Rosyi.

Ale niech tak się stanie! będziemy bronić czci imienia rosyjskiego i nietykalności naszych granic. Jesteśmy przekonani, że każdy Rosyanin, każdy wierny nasz poddany gotów iść walczyć za wiarę, za cesarza i ojczyznę, i że razem wykrzykniemy: Z nami Bóg! — wiedzcie o tem narody i korzcie się, albowiem z nami Bóg"!

Rezerwa reakcyi europejskiej — tak wówczas nazywano Rosyę—narazie rzuciła tylko groźbę: rok cały przeszedł, nim wojska jej ruszyły na pomoc chwiejącemu się tronowi Habsburgów. Wszędzie prawie gdzieindziej rewolucya po świetnych tryumfach początkowych, uległa potęgom starego porządku, które wzmogły się na siłach i z pierwotnej całkowitej kapitulacyi pozostawiły jedynie drobną część zdobyczy ludowej: „Z wyjątkiem wielu ustępów,— pisze Marx — każdy znaczniejszy rozdział kroniki rewolucyjnej z 1848 do 1849 roku nosi tytuł: „Klęska rewolucyi".

Rozwiały się złudzenia, na których w znacznej mierze opierała się dotychczasowa rewolucyjno-demokratyczna ideologia, zbyt prostą okazała się antyteza tronów i ludów. Ileż fatalnych, nieubłaganych przeciwieństw wyszło na jaw pomiędzy ludami, pomiędzy częściami tego samego narodu!

Oparta na wszechwładztwie ludu, rzeczpospolita francuska w trzy miesiące po zwycięstwie lutowem kartaczuje proletaryat na ulicach Paryża: to mieszczaństwo i chłopi zwalczają ruch robotniczy. W państwach niemieckich po krótkim okresie entuzyazmu rewolucyjnego, klasy posiadające poczynają się cofać, zresztą godzą się z potęgami stare-

go świata i zwracają się pod ich komendę frontem bojowym przeciw czerwonej demagogii, przeciw dalszemu ruchowi ludowemu.

I braterstwo narodów nie wytrzymało próby: demokracya francuska nie podała ręki innym ludom, a Węgrzy nawet w chwili najwyższego napięcia rewolucyjnego pokazali Słowianom, że i nadal chcą pozostać ich panami. Nowa Europa, która sięgała po swe historyczne dziedzictwo, nosiła w swem łonie cały szereg sprzeczności, które dawniej zasłaniało niepodzielne panowanie wspólnego wroga i natychmiast po pierwszych częściowych zwycięstwach nad tym wrogiem, w obozie zwycięzców jedność znika, a nieco później zaczyna się zajadła walka.

A jakiż był stosunek rewolucyi europejskiej do sprawy polskiej? W początkach ruchu, w chwili podniesionej temperatury, wielkie manifestacye ludowe na cześć Polski świadczyły, że rewolucyjna demokracya zachodniej Europy ożywiona jest szczeremi sympatyami względem naszego narodu. Ruchy nasze w Poznańskiem i w Galicyi, tudzież ewentualna wojna z Rosyą, której spodziewano się w Niemczech po manifeście cesarza Mikołaja I-go, wysuwały sprawę polską na plan pierwszy.

Ale z każdym miesiącem rewolucya kurczyła się i traciła impet: braterstwo ludów ulatniało się jak kamfora i bardzo prędko zeszło do platonicznych objawów, którym urągała surowo rzeczywistość.

Demokracya niemiecka *de facto* pogodziła się ze swym rządem i wbrew abstrakcyjnej formule

braterstwa ludów, pozostawiła Polaków na pastwę tryumfującej reakcyi.

Po roku 1849 w całej Europie nastaje okres reakcyi nietylko wskutek policyjnych środków ze strony rządów, ale bardziej jeszcze przez to, że dwa lata powszechnej burzy obaliły dawną wiarę w ideologię rewolucyjną. Odtąd ideologia ta ma skrzydła, obciążone ołowiem. Dotąd jeszcze rozlegają się jej zasady i wskazania, które jednak właściwie od roku 1848 stały się anachronizmem.

Tadeusz Grużewski.

I.

W środku miesiąca Października 1848 roku, dwóch Polaków z Kongresówki przebywało na chłopskim wózku granicę galicyjsko-węgierską, na drodze z Nowego-Sącza do Preszowa, przechodzącej przez rozległą równinę, która dzieli strome i śnieżyste Tatry, nagle urwane od zaokrąglonych i zielonością okrytych Karpat wschodnich. Zmierzali oni ku Pesztowi z upoważnieniem na piśmie od całej niemal nowej emigracyi, która napłynęła była do Lwowa i Krakowa, do układania się z rządem węgierskim o utworzenie siły Polskiej w Węgrzech na zasadzie: „My dziś z wami—wy jutro z nami".

Ci dwaj podróżni byli niegdyś kolegami w korpusie kadetów w Kaliszu. Jeden z nich walczył w 1831 roku, mając zaledwie lat 15-cie, lecz został był w kraju, odniósłszy ciężką ranę pod murami Warszawy, która nie dozwoliła mu podnieść się ze szpitalnego łóżka, jak to uczyniło wielu innych, ażeby dążyć za wojskiem. Drugi, zbyt młody, ażeby wziąć mógł udział w wielkiej walce narodowej —

artysta z niepospolitym talentem—chciał służyć sprawie ojczystej w 1848 r. i przybył do Lwowa, gdzie taką sobie zjednał był popularność między nową emigracyą, że go wybrała na prezesa swoich zgromadzeń.

Pierwszym był piszący, drugim Józef Kwiatkowski, później budowniczy w Krakowie, gdzie wystawił kilka pięknych gmachów.

Nim postąpię dalej w opowiadaniu mojej Odyssei, niech mi wolno będzie przebiedz szybko wypadki, które mnie rzuciły na drogę rewolucyjnej dyplomacyi, dla odegrania nader małej wprawdzie roli, ale nieco uprzywilejowanej pod tym względem, że mogłem patrzeć z za kulis na niektóre sceny dramatu 1848 i 1849 roku, w których Polacy byli aktorami, a następnie poznać z blizka stronnictwa, koterye i wybitniejsze osobistości starej emigracyi we Francyi.

Przybyłem do Lwowa na początku roku 1848 za interesem spadkowym, który się przewlekał, z powodu rozmaitych okoliczności politycznych i prywatnych od lat przeszło 60 i już był ostatecznem przedawnieniem zagrożony. Dodam nawiasem, że losu tego w następstwie—nie uniknął.

Kiedym od kilku tygodni obradował z moim mecenasem i wyszukiwał po archiwach niektórych potrzebnych mi jeszcze dokumentów, zawiała od zachodu owa burza, która wywróciła tron Ludwika Filipa i zawichrzyła całe Niemcy. Na początku Marca rozruchy w Kolonii, Monachium, Hamburgu zwiastowały, że gorączka rewolucyjna przekroczyła Ren. 13 Marca wybuchła ona w Wiedniu. Dobro-

tliwy cesarz Ferdynand poświęcił Metternicha — podporę absolutyzmu austryackiego i poczynił wszystkie ustępstwa, jakich od niego żądano z jednej i drugiej strony Litawy. W moc rozporządzeń jego w ciągu trzech dni 14, 15 i 16 Marca, ludy Przedlitawii otrzymały wolność druku (cenzura została zniesiona), instytucyę gwardyi Narodowej i pierwsze podstawy rządu konstytucyjnego, a dla dopełnienia dzieła, dekret cesarski zwołał zgromadzenie narodowe, oparte na wyborach we wszystkich prowincyach tej części monarchii. Jednocześnie Węgrzy, którzy już wszystkie te swobody i te instytucye posiadali, uzyskali ministerstwo odpowiedzialne z hr. Bathyanim na czele, i tym sposobem dualizm —cel dążeń patryotów węgierskich był osiągniętym — ale wtenczas na chwilę tylko. O Polakach najpóźniej rząd austryacki pomyślał. Dopiero 20 Marca ogłoszoną została amnestya dla skompromitowanych w dawniejszych ruchach obywateli Galicyi i Krakowa. Już w tej chwili całe Niemcy były wzburzone. 16 Marca lud Drezdeński wywalczył sobie wolność druku i konstytucyę. 18 Marca zaś stoczyła się na ulicach Berlina krwawa walka między ludem i wojskiem, a lubo lud został odparty, król Fryderyk Wilhelm uląkł się ogólnego prądu niemieckiego i wydał odezwę do „swoich ukochanych Berlińczyków" w wyrazach bardzo pojednawczych, zmienił ministeryum, zniósł cenzurę, zwołał zgromadzenie narodowe konstytucyjne na 2 Kwietnia, a 21 Marca wystąpił solennie, jako obrońca idei zjednoczenia Niemiec na podstawach konstytucyjnych pod berłem niemieckiego cesarza, którym oczywiście sam

być pragnął. Tegoż samego dnia ogłosił amnestyę dla wszystkich politycznych więźniów, którą lud Berliński zrozumiał jako hasło do podniesienia Polskiej sprawy.

Już lud Wiedeński w dniu swojej rewolucyi, t. j. 13 Marca wykrzykiwał na ulicach: „Niech żyją Polacy!“ Poświadczył to publicznie w Krakowie na zgromadzeniu akademickiem 17 Marca profesor Brodowski i całe zgromadzenie wykrzyknęłe nawzajem: „Niech żyją Wiedeńczycy!” W Prusach lud miał od naszego powstania Listopadowego żywą sympatyę dla sprawy polskiej. Nigdzie więcej, gruntowniej i serdeczniej nie pisano o naszej wielkiej walce. Wychodźców naszych przyjmowano w Prusach i w całych Niemczech po bratersku; przebywającym tam, nawet długie lata, okazywano ciągłą i szczerą uprzejmość. Doświadczyłem sam tego, uczęszczając w latach 1832, 1833 i 1834 na uniwersytet Wrocławski i z miłem zadziwieniem słyszałem wtenczas śpiewaną dosyć powszechnie na ulicach jakby pieśń narodową — piosneczkę o Kościuszcze [1]). To współczucie wybuchło z niewidzianem dotąd w Niemczech zapałem po ogłoszeniu amnestyi dla politycznych więźniów przez króla Fryderyka Wilhelma. Lud Berliński pobiegł natychmiast tłumem do więziennego gmachu, wyprowadził z niego Mierosławskiego i innych Polaków skazanych na śmierć lub więzienie i obnosił ich w try-

---

[1]) „Denkst du daran mein tapferer Lagienko” na nutę pieśni Beranger'a „Te souvient tu, disait un Capitaine”.

umfie po mieście. Przyniesiono ich przed zamek królewski i tysiące głosów wywoływało króla, a król, chcąc się przypodobać ludowi, wyszedł na ganek i odkrył głowę przed ludźmi, których niedawno więził. Fakt ten wstrząsnął elektrycznie całem Księztwem Poznańskiem i Prusami polskiemi. W trzy dni po nim, przedstawiła się już królowi pruskiemu deputacya z tych prowincyi z arcybiskupem Przyłuskim na czele, ażeby mu wyrazić życzenia obywateli polskich. Fryderyk Wilhelm odpowiedział, że do tych życzeń zupełnie się przychyla i że natychmiast wyznaczy komisyę złożoną z obywateli obu narodowości, zamieszkujących Księstwo Poznańskie, ażeby wraz z naczelnym prezesem zajęła się reorganizacyą tego księstwa, w duchu narodowym z uwzględniem wszakże Niemców poznańskich. Niemniej jak Księstwo Poznańskie zelektryzowana była emigracya Polska we Francyi, oczekująca od tak dawna jakiegośkolwiek promyka nadziei. 26 Marca książe Adam Czartoryski z Teodorem Morawskim ministrem z 1831 roku, generałem Chrzanowskim i P. Bystrzonowskim przybyli do Kolonii, a skoro tylko wiadomość o tem rozeszła się po mieście, lud zebrał się tłumnie z chorągwiami polskiemi i niemieckiemi, zaszedł pod okna ich mieszkania i uczcił długiemi okrzykami: „Niech żyją Polacy! Niech żyje Polska odrodzona!“

Wśród takichże samych okrzyków na wszystkich stacyach, w wagonie, przystrojonym rękami ludu niemieckiego w sosnowe gałęzie i wieńce z bluszczu (innej zieloności nie było jeszcze w tej porze), jechał pierwszy ten poczet reprezentantów emigra-

cyi Polskiej z Kolonii aż do Berlina, a po kilkudniowym pobycie w stolicy Hohenzollernów zawitał 8 Kwietnia na ziemi polskiej w Poznaniu. Wkrótce potem jenerałowie: Dembiński, Dwernicki i Bem przybyli do Lwowa, a następnie emigracya masami wyruszyła ku wrzekomo oswobodzonym polskim prowincyom, porzucając posady, zarobki, żony i dzieci, zachęcona przez Lamartina, który powiedział deputacyi polskiej tonem upewniającym: „Ojczyzna dla was otworem — wracajcie". Z drugiej strony młodzież z Kongresówki zaczęła wszystkiemi ścieżkami przemykać się do Księstwa Poznańskiego, ażeby zaciągać się pod chorągwie narodowe. Komisya bowiem, zapowiedziana przez Fryderyka Wilhelma i w krótkim bardzo czasie ukonstytuowana, na pierwszem zaraz posiedzeniu swojem uchwaliła utworzenie wojska polskiego i kazała rozpisać powszechne zaciągi, a uchwała ta, nietylko, że nie wywołała żadnego nieukontentowania między ludnością berlińską, ale owszem, została tam nader sympatycznie przyjętą. Otworzono nawet w Berlinie listy składkowe dla zapomożenia ochotników, pragnących wstąpić w szeregi polskie, w przekonaniu, że ta siła polska przeciw Rosyi obróconą będzie. Te objawy współczucia dla sprawy polskiej, tak ze strony króla, jak i ludności berlińskiej miały po części pobudkę w obradach, toczących się w Heidelbergu a następnie w Frankfurcie nad M. W Heidelbergu zgromadzili się byli już 5 marca, w liczbie 51, ludzie najwięcej wpływu mający na opinię publiczną w Niemczech: historycy, publicyści, mówcy, jak: Gervinus, Roemer, Brentano, Hanse-

mann, Winter i inni i, przypatrując się ztamtąd ruchom niemieckim, usiłowali im nadać jeden wspólny kierunek, a mianowicie przedstawić im za cel zjednoczenie ścisłe Niemiec na zasadach konstytucyjnych i odbudowanie Polski dla zasłonięcia tej przyszłej rzeszy niemieckiej od ambicyi i wpływu Rosyi. Wskutek narad tych ogłosiło zgromadzenie wezwanie do wszystkich rządów i ludów niemieckich, ażeby wysłały na 31 Marca przedstawicieli swoich do Frankfurtu, w charakterze przygotowawczego parlamentu niemieckiego *(Vor-Parlament)* dla naradzenia się w kwestyach zasadniczych, tyczących się organizacyi rzeszy niemieckiej. Myśl ta bardzo przypadła do wszystkich umysłów niemieckich a szczególniej też pruskich. Nie mówię tu o stronnictwie wojskowem, które ze zgrozą patrzało na wszystkie ruchy rewolucyjne, lecz o klasie, zwącej się myślącą i postępową, której marzeniem było oddawna widzieć naród swój przewodniczący rzeszy niemieckiej, a która spodziewała się, że na takiem stanowisku postawi go parlament niemiecki. Król sam nie miał jeszcze takiego wstrętu, jaki później okazał do wszystkiego, co nosi znamię rewolucyjne; korona cesarsko-niemiecka wielce go nęciła, bez względu z jakich rąk-by ją otrzymał, i to tłomaczy postępowanie tego monarchy wobec wybuchu ludowego 18 marca, który w mocy jego było stłumić. Jego cel ambitny wykrył się w trzy dni potem, jak to już nadmieniłem wyżej. Rankiem tego dnia, to jest 21-go marca, czytała publiczność berlińska na rogach ulic odezwę króla, do „swoich ukochanych berlińczyków", w której oznajmiał im,

że bierze w ręce sprawę jedności Niemiec, a obok było obwieszczenie ministeryalne, zapowiadające uroczystą paradę na stwierdzenie sojuszu królewskiego z ideą niemiecką. Około południa, tegoż dnia, minister oświaty i spraw duchownych, przyjmując na posłuchaniu delegacyę studentów, powiedział im: „J. K. Mość chce stanąć na czele Niemiec dla zabezpieczenia ich wolności pod tarczą konstytucyjnej monarchii i w tym zamiarze przychylił się do zwołania bezzwłocznie Parlamentu przygotowawczego niemieckiego, któremu sam przewodniczyć będzie. Król liczy na poparcie ze strony swojego wiernego ludu, a czyż nie sądzicie panowie, że na nim polegać można"? Młodzież odpowiedziała raźnemi okrzykami, a po południu, podług ogłoszonego programu, Fryderyk Wilhelm przejeżdżał po ulicach Berlina, przybrany w godła rzeszy niemieckiej, wpośród tłumów ludu, które go witały hucznemi wiwatami. Polacy, bawiący w stolicy pruskiej, mięszali się z ludem, mając na kapeluszach kokardy niemieckie obok polskich, na znak zespolenia się braterskiego z Niemcami.

Za przykładem Pruskiego poszły wszystkie inne rządy niemieckie i zezwoliły na zebranie się parlamentu przygotowawczego w Frankfurcie.

Te postępy rewolucyi wprowadziły w gniew zapamiętały cesarza Mikołaja, który od lutowej rewolucyi w Paryżu trzymał dłoń na rękojeści swojej szpady [1]). Znanym jest powszechnie i często

---

[1]) 7 marca na balu w Petersburgu powiedział cesarz do oficerów: „Moi panowie! gotujcie się siąść na koń", a 11

dotąd powtarzanym wykrzyk jego „korzcie się ludy”, ale nie od rzeczy będzie przytoczyć całą jego odezwę:

My Mikołaj I, cesarz i samowładca wszech Rosyi, Obwieszczamy:

„Po błogosławieństwach długoletniego pokoju, zachód Europy nagle zaburzonym został rozruchami grożącemi obaleniem Władz prawych i wszelkiego porządku społecznego.

Wszcząwszy się najprzód we Francyi, bunt i bezrząd udzieliły się prędko ościennym Niemcom, a rozlewając się wszędzie z gwałtownością, wzrastającą w miarę ustępności rządów, niszczący ten potok dosięgnął nareszcie i sprzymierzonych z nami cesarstwa austryackiego i królestwa pruskiego. Obecnie, nie znając więcej granic zuchwałości, zagraża w szaleństwie swojem i Naszej od Boga powierzonej nam Rosyi.

Ale tak nie będzie!

Świętym przykładem prawosławnych naszych przodków, wezwawszy na pomoc Boga Wszechmocnego, jesteśmy gotowi spotkać naszych nieprzyjaciół, gdziekolwiekby się stawili i, nie oszczędzając siebie, będziemy w nierozłącznym związku z świętą naszą Rosyą bronić imienia Rosyjskiego i nietykalności naszych granic.

Jesteśmy przekonani, że każdy Rosyanin, ka-

---

marca nakazane zostały przygotowania wojenne Rosyi zgodnie z Prusami.

żdy wierny nasz poddany odpowie na wezwanie swojego Monarchy. Starodawne hasło nasze: za Wiarę i Ojczyznę! wskaże nam i teraz drogę do zwycięztwa, a wtenczas w uczuciach pobożnej wdzięczności, jak i teraz w uczuciach świętego na tem polegania wszyscy razem wykrzykniemy:

Z nami Bóg, wiedzcie o tem narody i korzcie się, albowiem Bóg z nami.

Dan w Petersburgu 14 marca (26 marca).

Mikołaj".

Po takiej groźbie, wymierzonej przeciw całym Niemcom, można zrozumieć, że zbrojenie się Polaków w Wielkiem Księstwie Poznańskiem mile widziane było przez stronnictwo „czynu" w Berlinie. Zanim jednak manifest doszedł do Niemiec (nie było wtenczas jeszcze dróg żelaznych w Rosyi), parlament przygotowawczy niemiecki już był zagajony. Członkowie jego zebrani na dniu 31 marca w Frankfurcie w liczbie 574 zastali przygotowane dla siebie tryumfalne przyjęcie. Przeszli w całem zebraniu przez ulice miasta do miejsca posiedzeń pod zwycięzkimi łukami, wśród tłumów radosnego ludu, przy odgłosie dzwonów, huku dział i nieustannych wiwatach, a na pierwszych zaraz posiedzeniach 31 marca i 4 kwietnia ułożono i przyjęto następną uchwałę, tyczącą się Polski:

„Związek niemiecki uznaje podział Polski za haniebną niesprawiedliwość i uważa za święty obowiązek ludów niemieckich wszelkich dołożyć starań, aby przywróconą została. Oświadcza przytem życzenia swoje, aby rządy niemieckie zapewniły

Polakom wolne przejście bez broni do ich ojczyzny i w razie potrzeby pomocy im udzieliły". Ta uchwała, lubo miała tylko charakter projektu do uchwały, wychodząc od zgromadzenia przygotowawczego, a nie od rzeczywistego parlamentu niemieckiego, wywarła jednak wrażenie ogromne nietylko na ludy niemieckie, ale na całą Europę w ogólności.

Rząd austryacki pośpieszył ogłosić w *Gazecie Wiedeńskiej* (6 kwietnia) deklaracyę, najzupełniej zgodną z duchem owej uchwały. „Austrya—słowa są deklaracyi—odpowie oczekiwaniom Polski, a przywracając ją da dowód sprawiedliwości i roztropnej polityki... Wolna Austrya przyniesie wolność Polsce, a silna związkiem z Polską i sympatyą Europy, nie będzie wahała się walczyć z Rosyą w tak wielkim celu". W tymże czasie była deputacya Polska w Wiedniu i 2 kwietnia miała posłuchanie u arcyksięcia Jana, który uchodził za najlepszą głowę polityczną w familii panującej. Na przemowę Polaków, arcyksiążę odpowiedział w te słowa: „Bądźmy otwartymi. Moja babka i król Fryderyk, dzieląc Polskę, ciężki grzech popełnili. Podział ten jest największem nieszczęściem Europy. Od tej chwili spokój i rzetelność w świecie politycznym ustały, a handlowanie narodami ze szkodą rządów się rozpoczęło. Nieszczęście to trwać będzie, póki Polska bytu swego nie odzyska. Byt Polski jest rzeczą naturalną i konieczną. Nie ma więc co mówić o sposobach przywrócenia jej, bo rzecz naturalna i konieczna sama do skutku przychodzi jakimkolwiek sposobem. Roztropniej jest przeto dzi-

siaj o sposobach odbudowania Polski nie mówić, lecz do odbudowania tego się przygotować" [1]).

12 kwietnia Sejm węgierski odezwał się z kolei w sprawie polskiej w sposób energiczny, żądając jej przywrócenia bezwarunkowego. Rząd tymczasowy francuski, pomimo niechęci osobistej Lamartina dla Polaków, jawnej we wszystkich jego pismach, a do której, zdaje się, miał prywatne powody, uczuł, że mu milczeć nie należy wobec tego ogólnego ruchu na korzyść Polski w państwach niemieckich. Na wniosek jego zgromadzenie konstytucyjne wystosowało adres do przygotowawczego parlamentu niemieckiego z wyrazami współczucia za podniesienie przez niego sprawy polskiej. Agenci dyplomatyczni francuscy za granicą otrzymali instrukcye do popierania tej sprawy przy wszystkich rządach, które to instrukcye wznawiane były aż do dni czerwcowych. Na dowód tego złożył Lamartine zgromadzeniu konstytucyjnemu 23 maja 1848 roku okólnik, przesłany krótko pierwej posłom francuskim na dworach północnych, następującej treści:

„Były rząd pozwalał z niechęcią, i jakby przymuszony, swoim Izbom oświadczać corocznie życzenia swe o wskrzeszenie narodowości polskiej. Rzeczpospolita mówi więcej — mówi przez swój rząd i głośno: „Sprawa przywrócenia narodowości polskiej w rozmiarach, jakie oznaczone zostaną w po-

---

[1]) Ustęp ze sprawozdania deputacyi krakowskiej w dniu 2 kwietnia r. b. do Wiednia wyprawionej. *Gazeta Krakowska* z 29 kwietnia 1848 roku.

rozumieniu z trzema dworami, jest własną Francyi sprawą; sprawą, której nigdy ani opuści ani zapomni, sprawą, którą naprzód popierać będzie na drodze dyplomatycznej, a jeśli się to nie uda, czynnem działaniem w dniu i godzinie, w której wypadki pozwolą jej rozważnie i przez zawczasu przygotowane kombinacye wystąpić ze sprzymierzeńcami swymi naturalnymi w sprawie wyswobodzenia Polski".

„Powiedzcie panowie otwarcie rządowi pruskiemu, dobitnie rządowi austryackiemu, a bez obawy rosyjskiemu: pragniemy pokoju z wami, poszukiwać będziemy nawet przymierza z wami na zasadach sprawiedliwych dla wszystkich narodów, a dobroczynnych dla narodów słabych, lecz pierwszym warunkiem trwałości tego pokoju, szczerości tych przymierzy jest, aby Polska zabrana, ujarzmiona, wyzuta ze swojej narodowości, pozbawiona niezawisłości politycznej i religijnej, nie stała między wami a nami. Oddajcie Polsce, co jej się należy, usamowolnijcie ją, uorganizujcie ją w porozumieniu z nią samą i z mocarstwami dbałemi o prawo i sprawiedliwość, które gwarantowały solidarnie traktaty 1815 r., odtwórzcie, jednem słowem, Polskę z własnem życiem i indywidualizmem, a tym sposobem wszystko się ułatwi, wszystko się zmieni w pokój i przyjaźń między Rzecząpospolitą francuską, a mocarstwami, które wzięły udział w podziale tego kraju. Inaczej zaś wszystko będzie chwilowe, fałszywe, nieprzyjazne, najeżone trudnościami, pełne zasadzek ukrytych, groźne wojną. Trwałość pokoju świata od tego zależy".

Streszczając wszystkie przytoczone powyżej dokumenta i fakta powiedzieć można, że sprawa polska była w marcu i kwietniu 1848 wyprowadzona przed sąd ludów Europy w sposób, rokujący nam najpiękniejsze nadzieje. Od Polaków zależało posunąć ją ku rozstrzygnięciu, a przynajmniej utrzymać ją na porządku dziennym polityki europejskiej, związując ją solidarnie i stale z kwestyą niemieckiej jedności, ale do tego trzebaby było ze strony Polaków wielkiej roztropności, wielkiego umiarkowania, wielkiego taktu, zalet, niestety, rzadkich bardzo między nami, a rzadziej jeszcze połączonych w jednej osobie z odwagą cywilną i mocą charakteru. Bywali ludzie, którzy mogli byli pokierować umiejętnie skołataną nawą narodową, gdyby z niezachwianą energią i, nie zważając na krzyki gawiedzi, chcieli byli przeprowadzić własne swe zdrowe zdania, ale, niestety, woleli oni iść za prądem z dołu, ażeby nie narazić się na niepopularność, na przezwiska niepatryotów i zdrajców. Tak się stało w Księstwie Poznańskiem w roku 1848. Członkowie komitetu narodowego ks. arcybiskup Przyłuski, pp. Potworowski, M. Mielżyński, Libelt, Stefański, ludzie światli, wytrawni, nieposzlakowanej cnoty obywatelskiej, na pierwszem posiedzeniu popełnili błąd, którego już później naprawić nie było podobna; uchwalili utworzenie wojska polskiego, nie pytając się, czy to wojsko, zamiast pomódz, nie zaszkodzi naszej sprawie; uczynili to, ażeby zadowolić rozbudzony patryotyzm mas, który się domagał hałaśliwie pułków, legionów, orłów, chorągwi polskich, ale po co było z tem tak śpieszyć? Szaleń-

stwem było myśleć, że Księstwo Poznańskie wyda wojnę Rosyi na własną rękę. Nie trzebaż więc było czekać, póki Niemcy a przedewszystkiem Prusacy, upojeni myślą zjednoczenia wszystkich państw niemieckich, nie wywołają sami w szranki grożącego im kolosa północy, który wielkiego i wolnego państwa niemieckiego obok siebie znieśćby nie mógł za czasów Mikołaja.

Na Niemcach więc polegała w r. 1848 cała nasza nadzieja. Byli oni w zupełnej zgodzie z nami, co do zasady, że Polska jest niezbędną tak dla zasłonienia od Rosyi przyszłych Niemiec, jak wogóle dla równowagi, spokoju i wolności całej ucywilizowanej Europy, ale w kwestyach szczegółowych, tyczących się reorganizacyi na sposób narodowy pruskiego zaboru, tudzież utworzenia wojska polskiego, kwestyach skomplikowanych i wielce drażliwych, mogliśmy się bardzo łatwo z nimi powadzić, czego koniecznie unikać należało, ażeby sprawy naszej, tak dobrze stojącej, na szwank nie wystawić. Na to ani Komitet Narodowy, ani Mierosławski nie pomnieli.

Owóż zaledwie ogłoszone zostało rozporządzenie Komitetu, powołujące ludność Księstwa pod chorągwie narodowe — wszystko, co żyło, chwyciło za broń. Szlachta, oficyaliści, mieszczaństwo polskie za strzelby myśliwskie, chłopi za kosy, i oddziały ruchawki zaczęły się snuć po całem Księstwie z hałasem zwykłym w takiem rozgorączkowaniu mas; — młodzież, z Królestwa przybywająca gromadami, przyczyniła się do anarchii, a Poznań stał się punktem zbiorowym tego pospolitego rusze-

nia. Na ten widok zaniepokoili się mieszkańcy niemieccy Księstwa, sądząc, że oddani będą pod panowanie polskie, a wojsko pruskie obruszyło się do najwyższego stopnia. Rząd pruski otrzymał od władzy wojskowej w Poznaniu raporta, wskazujące niebezpieczeństwo podobnego stanu rzeczy i nader nieprzychylne Polakom, oraz rozliczne zażalenia od Niemców tej prowincyi. Wskutek tego Poznań ogłoszony został w stanie oblężenia. Nowe pułki wysłano do Księstwa, które podniosły ogólną cyfrę konsystującego w tej prowincyi wojska do 20,000 żołnierzy, przyczem przyszedł rozkaz do nadgranicznych komend, ażeby nie przepuszczały przez granicę przybywających z Kongresówki ochotników, a żołdactwo w wykonaniu tych rozkazów wystąpiło z całem znanem swojem brutalstwem. Oddział jeden dragonów napadł z dobytemi pałaszami na gromadkę takich ochotników, rozsiekał na śmierć dwóch braci Lipskich, ranił kilku innych, resztę rozpędził.

Komitet Narodowy zaniósł skargę do króla. P. Libulski, wysłany z tą skargą, odwołał się przytem jeszcze i do ludu berlińskiego, zawiadamiając go publicznemi plakatami o podnoszącej się reakcyi w Księstwie Poznańskiem. Wielu innych Polaków, przebywających w Berlinie i nawet stary książe Adam Czartoryski, który bawił w tej stolicy, starali się także poruszyć opinię publiczną za Polakami. Król Fryderyk Wilhelm wielce tem wszystkiem zakłopotany wysłał do Poznania generała Willisena, ażeby strony powaśnione i interesa przeciwstawione sobie ile możności pogodził, i na niego zlał misyę

poruczoną poprzednio Komitetowi Narodowemu ułożenia planu reorganizacyi Księstwa.

Generał Willisen był starym przyjacielem Polaków. W roku 1831 opisywał i rozbierał krytycznie w dzienniku wojskowym berlińskim wszystkie bitwy, utarczki i ruchy strategiczne naszego wojska z wielkiem współczuciem dla naszej sprawy, a następnie wydał historyę tejże kampanii, która jest bezwątpienia najgruntowniejszą ze wszystkich dzieł tego rodzaju, jakie wyszły.

Zdaje się, że rząd, powierzając mu misyę reorganizatora Księstwa, nie dał mu szczegółowych instrukcyi, polegając zupełnie na jego sądzie. Myśl rządu później dopiero objawioną została, gdy już Willisen ogłosił był swój program, który nierównie więcej Polakom przysądzał, niżeli to było w zamiarach rządu i niżeli mu tego oględność na interesa państwa pruskiego — bezstronnie mówiąc—pozwalała. Myśl rządu znajdujemy w dzienniku urzędowym pruskim *Allg. Zeitung* z 12 kwietnia 1848 r. w artykule wstępnym pod tytułem: *Kwestya Polska.* Czytamy tam najprzód oświadczenie następujące: „Przedewszystkiem mamy sobie za obowiązek oświadczyć wyraźnie i otwarcie wszystkim, którzyby o tem wątpić mogli, że Prusy *przy rozwiązaniu* kwestyi polskiej, wszelki interes własny odkładają na bok i że nie cofną się przed żadną terytoryalną ofiarą, potrzebną do utworzenia Polski, lecz te części Księstwa, które są istotnie niemieckie, muszą przy Niemcach i Prusach pozostać, i pod tym względem żadna nie zachodzi wątpliwość. Mieszkańcy sami rozstrzygną wolnemi głosami, czy chcą

należeć do Polski, czy do Niemiec". Dalej pisarz oficyalny stara się udowodnić, że póki kwestya przywrócenia Polski nie będzie urzędownie wytoczoną, póty rząd pruski żadnej części Księstwa z pod władzy swojej wypuścić nie może. Nie może także tolerować zbrojenia się i koncentrowania *band anarchicznych*, które nie wstrzymałyby się od napadu na Królestwo Polskie, z czego wynikłaby niezawodna porażka i zajęcie Księstwa Poznańskiego przez Rosyę wraz z fortecą poznańską, a tym sposobem wschodnie prowincye monarchii byłyby tak dobrze jak odcięte od reszty, i Niemcy od Wschodu zupełnie odsłonięte.

Trudno zaprzeczyć, ze rozumowanie to było logiczne i słuszne ze stanowiska rządu pruskiego, ale jenerał Willisen już się był przechylił zupełnie na stronę życzeń polskich i program reorganizacyi Księstwa, ogłoszony przez niego 8 kwietnia, to jest na cztery dni przed zacytowanym wyżej artykułem dziennika urzędowego, nietylko zastrzegał dla Księstwa najzupełniejszą autonomię, na coby się rząd pruski z pewnemi zastrzeżeniami na korzyść Niemców poznańskich zapewne zgodził, ale warował jeszcze i wojsko narodowe, złożone: 1-e z landweru, w którym oficerowie mieli być wybieralni, komenda polska i kokardy polskie; 2-ie z korpusu ochotników, który miał być uformowany z funduszów prywatnych. Na ostatek program reorganizacyi zamieszczał warunek ten, że wojska z innych prowincyi, konsystujące w Księstwie, będą odwołane.

Po ogłoszeniu tego programu, krzyk ogromny powstał między Niemcami Księstwa na Willisena,

a jenerał Wedell, komenderujący wojskiem pruskiem w Księstwie, ani słyszeć chciał o tym programie, o ile się tyczył spraw wojskowych. Dwie siły stały naprzeciw siebie: 28 tysięcy wojska pruskiego z jednej strony, a około 30 tysięcy ruchawki poznańskiej z drugiej strony. W tej ruchawce liczę kilka tworzących się naówczas regularnych pułków; mianowicie: jeden pułk piechoty i jeden ułanów, które zaczęły się organizować w Poznaniu kosztem miasta, a po ogłoszeniu Poznania w stanie oblężenia, wyszły do Karnaszewa kończyć tam swoją organizacyę, pułki ułanów T. Działyńskiego i Mycielskiego i może jeszcze inne. Główna jednak masa pospolitego ruszenia składała się z gromadek bez żadnej organizacyi, uzbrojonych — jak wspomniałem wyżej — w strzelby myśliwskie, a najpowszechniej w kosy. Gromady te, gdy bramy Poznania zostały dla nich zamknięte, skoncentrowały się jedne pod miastem Środą, gdzie liczono do dwudziestu tysięcy ludzi zbrojnych, inne, w liczbie około 12-u tysięcy ludzi, pod lasem Krotoszyńskim pod wodzą Mierosławskiego. W takim stanie zastał J. Willisen Księstwo Poznańskie i łudząc się co do zamiarów rządu swojego, chciał chaos ten uporządkować w taki sposób, ażeby z niego zrobić kraj polski, w osobie króla tylko złączony z Prusami. Działał on w myśl Komitetu Narodowego, który pod jego przewodnictwem urzędował dalej — ale ogłoszenie rządowe z 12 Kwietnia sparaliżowało czynności tak jenerała Willisena, jak Komitetu. Komitet natychmiast się rozwiązał, jenerał Willisen zostawiony sobie samemu, nadaremnie usiłował nakłonić gromady zbroj-

ne, ażeby się rozwiązały—stanowczo tego odmówiły, a wojsko pruskie zamierzało otoczyć całe zbrojne zebranie pod Środą, ażeby je głodem do poddania zmusić. Willisen użył pośrednictwa swojego między stronami, i z pomocą generała Colomba doprowadził je do konwencyi, wskutek której ruchawka odstąpiła od Środy, ale udała się pod Wrześnię i Trzemeszno, a Mierosławski z pod lasu Krotoszyńskiego posunął się pod Miłosław. Niebezpieczeństwo starcia się ruchawki z wojskiem pruskiem na chwilę więc tylko usunięte zostało. Rozważni patryoci poznańscy drżeli na tę myśl. W miejsce rozwiązanego komitetu uformował się nowy pod bokiem Willisena, złożony z dwóch członków dawnego komitetu, Libelta, M. Mielżyńskiego, i nowych członków: Moraczewskiego, Jarochowskiego, ks. Janiszewskiego i ks. Prusinowskiego; wydał on odezwę do ruchawki, błagając ją w najgorętszych wyrazach, ażeby unikała wszelkiego zajścia z wojskiem pruskiem. Jenerał Willisen zaś korespondował czynnie z rządem, chcąc uzyskać od niego jakiekolwiek ustępstwo dla ducha wojskowego Polaków, ale przeciw niemu biło całe stronnictwo wojskowe, które coraz więcej nabierało wpływu na dworze Fryderyka Wilhelma. Niemcy, osiedli w Księstwie i Prusach wschodnich, nie przestawali także użalać się na tego generała, że popiera wyłącznie żywioł Polski z krzywdą Niemców [1]), a co

---

[1]) Minister Camphausen otrzymał z Prus zachodnich z cyrkułu Karthauser prośbę następującą, datowaną 14 kwie-nia: „Odezwa tymczasowego polskiego komitetu ogłaszającego

najgorsza obok niego wystąpił Mierosławski, jako wódz siły zbrojnej narodowej w Księstwie Poznańskiem—*quasi* dyktator— i wysyłał raz po raz swojego szefa sztabu Krauthofera do króla, ażeby z nim traktować jak potęga z potęgą. Znam Ludwika Mierosławskiego z ławek szkolnych, siedzieliśmy bowiem na jednej ławce w korpusie kadetów w Kaliszu; miałem z nim następnie stosunki we Francyi, i w dalszym ciągu tego opowiadania będę miał sposobność skreślić jego wierny wizerunek; teraz to tylko powiem, że odegrał rolę fatalną w Księstwie Poznańskiem, jak się to zaraz pokaże.

Willisen, nie wskórawszy nic u rządu, wyjechał z Poznania dnia 21 kwietnia, bądź odwołany, bądź zrzekłszy się własnowolnie powierzonej mu misyi, której wypełnić nie było mu podobna. Po jego wyjeździe jeden człowiek był tylko w Księstwie Poznańskiem, który mógł był przeszkodzić zgubnemu dla sprawy naszej starciu się Polaków

---

Prusy zachodnie za polską prowincyę, zniewoliła mieszkańców naszych cyrkułów do następującego oświadczenia: Nie uważając polskiej narodowości ani też do niej przystępując, jesteśmy zniewoleni prosić, aby Zachodnie Prusy, jako pruska prowincya, do związku niemieckiego przypuszczone były Jesteśmy Prusakami i takimi zostać chcemy".

Ta prośba pisana jest jeszcze w tonie grzecznym, ale Camphausen i król sam odbierali nieustanne zażalenia na Polaków, na Komitet Narodowy i generała Willisena w wyrazach cierpkich a częstokroć obelżywych. Ztąd to zapewne Bismarck wyciągnął ten wniosek, który Polakom wypowiedział, że sprawa polska więcej nierównie kłopotu aniżeli korzyści przynieść może Niemcom.

[illegible]

[illegible] Nastąpiła utarczka, która się stała hasłem dla Prusaków do uderzenia na wszystkie ruchawki polskie. Pod Miłosławiem zostali pobici przez dzielne chłopstwo wielkopolskie. Taktyka Mierosławskiego nie miała w tem żadnego udziału, ale po bitwie, dumny zwycięstwem wydał proklamacyę, wzywając Księstwo całe do powstania, a w siedem dni potem zmuszony był kapitulować. Podpisał tę kapitulacyę 9 maja warując sobie paszport do Francyi, który po kilku dniach otrzymał na słowo honoru, że już więcej przeciw Prusakom broni nie podniesie i 14 maja, wyjechał do Francyi, zostawiwszy między Polakami i Prusakami przepaść, która się coraz bardziej rozszerza i nigdy się już nie zamknie. W dzień, w którym się toczyła walka pod Miłosławiem, Niegolewski na czele innych posłów polskich wnosił na sej-

mie pruskim, świeżo otwartym, ażeby to zgromadzenie wezwało związek niemiecki w imię niemieckiego honoru do dotrzymania Polakom przyrzeczenia, przez parlament przygotowawczy uczynionego. Wniosek przyjęty z wielkiem współczuciem 2 maja, wrócił pod obrady 4 maja. Już wiadomość o bitwie pod Miłosławiem przyszła była do Berlina, rozprawy w Izbie były żywe, gwałtowne, pełne wymówek dla Polaków. Wniosek nakoniec przyjęty został, ale tylko większością dwóch głosów. Było to pożegnanie, dane sprawie Polskiej przez Niemców. Jak tylko się bowiem rozeszło po Berlinie, że w Poznańskiem wybuchła zacięta walka między Polakami a pruskiem wojskiem, cała sympatya Berlińczyków dla polskiej sprawy w jednej chwili zagasła. Studenci nawet oświadczyli na zebraniu swojem, że od sprawy polskiej ręce sobie umywają. W parlamencie przygotowawczym już więcej mowy o niej nie było; tylko ażeby nie dać zaprzeczenia swoim zasadom, zgromadzenie, zamykając posiedzenia swoje 31 maja wygłosiło w sposób ogólny prawo, służące wszystkim obcym pierwiastkom w Niemczech do używania autonomii.

Były to czcze słowa. Krwawe zajścia w Poznańskiem dały doświadczenie wszystkim ludziom politycznym w Prusach, że, odbudowując Polskę, wystawiliby przeciw siebie bardzo niebezpiecznego nieprzyjaciela i przez to cały ruch niemiecki 1848 r., powiedzieć można, zwichnięty został. Niemcy zjednoczone, jakich chciał parlament przygotowawczy, miały bowiem żyć zgodnie z zachodem, i dlatego potrzebowały się odgrodzić od Rosyi przed

murzem potężnem odbudowanej Polski, a gdy samo podniesienie chorągwi polskiej pokazało się tak niebezpiecznem dla Prus, król Fryderyk Wilhem zrzekł się swojego marzenia być koronowanym cesarzem niemieckim przez niemiecki parlament. Wolał się zbliżyć napowrót do Rosyi, solidarnie związanej z Prusami podziałem Polski, i do Cesarza Mikołaja, dla którego miał dziwne jakieś uwielbienie, jak się to pokazuje z listów jego do Bunsena, gdzie tego żelaznego władcę nazywa *wielkim i świętym człowiekiem.*

Wypadki, jakie zaszły następnie we Francyi wrzenie klubów, napad 15 maja czerwonych republikanów na zgromadzenie konstytucyjne pod pozorem upominania się za Polską, i nakoniec straszliwe walki czerwcowe na ulicach Paryża, zniesławiły ideę rewolucyjną w ogólności. Uznano dosyć powszechnie w sferach oświeceńszych, że otworzyć szluzy dążnościom ludowym; jest to puścić wolno potok wszystko niszczący. Od dni czerwcowych rząd republikański był w Francyi zachwiany i chylił się do upadku. W Niemczech, w Prusach mianowicie, reakcya i militaryzm wzięły górę stanowczo; w Poznańskiem zaprowadzony był ogólny stan oblężenia, i wszyscy emigranci dawni i nowi zostali z kraju wydaleni, a parlament niemiecki, otwarty w pierwszych dniach czerwca, w krótkim czasie potrafił idee niemieckie śmiesznością okryć i obradował w coraz większem osamotnieniu tak, że w końcu już nawet echa nie powtarzały jego nudnych sporów.

Dramat rewolucyjny nie był jednak jeszcze

skończony na całej tej rozległej scenie, na której się od miesiąca marca odgrywał. Monarchia Habsburgów przedstawiała obraz chaotycznej walki rozprzężonych żywiołów, a nigdzie siły dosyć rozumnej, ażeby te różnorodne żywioły objęła i do zgody doprowadziła. Wszystkie narodowości austryackie powstały przeciw despotyzmowi centralnemu, ale jedna drugiej ręki podać nie chciała. Każda swój interes tylko miała na oku i działa na swój własny rachunek—a tym sposobem ściągała na siebie wszystkie siły, jakiemi rząd rozporządzał. Rząd zaś sam, lubo miał dosyć mocy, aby te rozstrzelone narodowości jedną po drugiej poskromić, nigdy nie był sam z sobą w zgodzie. Cesarz chciał wprawdzie wszystkim ludom podwładnym swemu berłu dogodzić, ale za nim była kamarilla, która każde ustępstwo, uczynione przez niego, kazała ludom drogo opłacać — wszędzie chciała przywrócić dawny stan rzeczy, a nigdzie tego dokazać nie mogła, bo jej w tem znowu cesarz przeszkadzał.

Kraków i Galicya przypuszczone do tychże samych swobód, jakie monarcha innym krajom swojego państwa udzielił, nie były nigdy pewne jutra przez cały ciąg tego rewolucyjnego peryodu. Po oświadczeniu urzędowem w *Gazecie Wiedeńskiej*, że Austrya wolna wywalczy dla Polski wolność i niepodległość; co więcej, nazajutrz po ogłoszeniu konstytucyi dla całego państwa austryackiego, to jest 26 kwietnia — nagle, bez żadnej namacalnej przyczyny wojsko austryackie bombardowało Kraków, poczem Komitet Narodowy i gwardya narodowa zostały zniesione, ludność rozbrojona, em-

granci wypędzeni, a generał Castiglione obejmuje dyktaturę i znów w parę dni potem prezes rady ministrów Pillersdorf, odpisując na list księcia Jerzega Lubomirskiego, upewnia go, że autonomia Krakowa i Galicyi nie jest bynajmniej zagrożoną. W rzeczy samej, po tej krwawej zabawce wojska austryackiego, którą generał Castiglione sam dosyć ciężko opłacił, wolno było jak pierwej, mówić, drukować, gromadzić się w Krakowie, i nowoprzybyłych emigrantów młodych i starych policya już nie niepokoiła.

We Lwowie, który miał być z kolei bombardowany 2 listopada, panowała aż do owego smutnego dnia zupełna swoboda, wprawdzie pod okiem silnej załogi, której bagnety i działa hamowały nieco zapał ludności. Władza autonomiczna skoncentrowana była w Radzie narodowej, wolnemi głosami wybranej. Dzienniki nie ulegały żadnej cenzurze, zgromadzenia nie były wzbronione, a młoda emigracya, napływająca ciągle z Królestwa, od czasu zwłaszcza jak w Księstwie Poznańskiem skończona była krótka epopea Mierosławskiego, wolno chodziła po mieście. Młodzież ta opuszczała kraj, nie wiedząc dobrze, jak rzeczy stoją w Europie, sądząc, że sprawa Polski jest jeszcze na porządku dziennym, i że gdzieśkolwiek tworzyć się będą legiony polskie.

Na początku września było we Lwowie takich młodych wychodźców z różnych klas społeczeństwa, z Kongresówki, a po części i z prowincyi przyłączonych do Rosyi, najmniej z tysiąc, których obywatele między siebie rozebrali, każdy po kilku,

i gościli w swoich mieszkaniach. Były już i partye między nimi, ale główna masa zgromadzała się pod prezydencyą mojego kolegi, jak już nadmieniłem na początku. Miał on, obok szczerej i braterskiej uprzejmości dla tej młodzieży, pewną stanowczość zdania, i coś w powierzchowności, co mu, razem wzięte, jednało popularność. Wysoki, wysmukły, z długiemi włosami i miną artysty trafiał on do przekonania swoich słuchaczy frazesami trochę *à la Joseph Prudhomme*, którym dobitności dodawał, machając długiemi rękami.

Ubolewałem nad losem tylu dziarskich młodych ludzi, dla których bardzo mało było widoków w Galicyi; a w kraju, gdyby chcieli wrócić, czekały ich ciężkie prześladowania, gdy w tem zaczęły się rzeczy w państwie austryackiem groźnie gmatwać. Demokracya wrzała w Wiedniu. W jednym tylko klubie, prezydowanym przez d ra Taussenau liczono kilkadziesiąt tysięcy — mówiono nawet 100,000—członków. Cesarz z ministrami i sejmem przeniósł się do Kromieryża. W Węgrzech uchwały sejmowe wydane pod wpływem Kossutha względem uzbrójenia 200,000 wojska i puszczenia w obieg banknotów na 60 milionów złr. zaczynały wchodzić w wykonanie. Na początku zaś października ministeryum zachowawcze Bathyani'ego ustąpiło i wybrano komitet obrony krajowej pod prezydencyą Kossutha. Ten obrót rzeczy dodał mi otuchy. Wierzyłem w Kossutha, widziałem w nim człowieka jedynego, który był na wysokości wypadków i który zapewnie podzielał szczerze opinię sejmu węgierskiego, wyrażoną solennie na posiedzeniu 1'

kwietnia, „że sprawa polska jest sprawą węgierską“, ale Rada Narodowa galicyjska nie mogła była żadnych z nim układów zawiązywać, bez narażania miasta na bombardowanie, a całej Galicyi na niebezpieczeństwo nowej krwawej plagi jak ta, której pamięć była jeszcze świeża. Najwłaściwiej było jak mnie się zdawało, żeby młoda emigracya wyprawiła deputacyę od siebie do prezesa obrony krajowej w Węgrzech, ofiarując Węgrom swoje usługi, nie jako najemnicy, lecz jako zaród sprzymierzonego z niemi korpusu polskiego. Odpowiedzialność za taki krok nie mogła spaść ani na Galicyę, ani na Radę Narodową, ale wyłącznie na młodą emigracyę.

Myśl tę zwierzyłem Kwiatkowskiemu i oświadczyłem mu, że jestem gotów jechać w takiej misyi do Węgier, ale, będąc od młodej emigracyi zupełnie nieznany, proponuję mu, żeby jechał ze mną na koszt mój do Pesztu, uzyskawszy od owej młodzieży upoważnienie dla nas obydwóch do traktowania z rządem węgierskim, opatrzone jaknajliczniejszemi podpisami. Kwiatkowski zgodził się chętnie na to, i tegoż samego dnia rzecz całą przedstawił na zgromadzeniu młodej emigracyi, która projekt cały z entuzyazmem przyjęła i natychmiast zaczęła, ułożone przez nas upoważnienie, podpisywać. Nazajutrz podpisy zostały uzupełnione, a trzeciego dnia ja i kolega mój wyjechaliśmy ze Lwowa, zaleciwszy jaknajmocniej młodzieży, ażeby żaden nie ruszał do Węgier, póki komitet, przy tej okoliczności utworzony, nie otrzyma od nas wiadomości.

Nie udaliśmy się wprost do Pesztu. Obróci-

liśmy drogę na Kraków, gdzie przebywało kilkuset młodych emigrantów. Porozumieliśmy się z nimi. Wszyscy z zapałem przyłożyli podpisy swoje na upoważnienie, podpisane przez ich braci ze Lwowa. Zaleciliśmy im, podobnie jak tamtym, ażeby czekali na znak od nas i puściliśmy się w drogę do Węgier, a kilkunastu młodych emigrantów odprowadziło nas aż do Nowego-Sącza. Nazajutrz byliśmy na węgierskiej ziemi u węgierskiego szlachcica, do którego dano nam list polecający w Krakowie, jako do wielkiego przyjaciela Polaków.

II.

Ów szlachcic węgierski — nazwisko jego wyszło mi zupełnie z pamięci—przyjął nas uprzejmie ale bez wielkiej serdeczności. Był to stary kawaler, pan na kilku wioskach, lecz tak mało dbały o najprostsze wygody w swoim domu, że pod wpływem pierwszego wrażenia uczyniłem z cicha uwagę mojemu koledze, iż jesteśmy podobno za granicami cywilizacyi europejskiej. Łóżka mianowicie były tak wąziutkie, że w nich obrócić się nie było podobna, lecz gospodarz miał tę pociechę, że usypiał pod cieniem swojego szlachectwa, bo nad jego łóżeczkiem, wyrysowane na wielkiej karcie drzewo genealogiczne jego rodu, rozpościerało swoje rozliczne konary.

Przy wieczerzy, której fundamentem była jakaś narodowa potrawka z papryką, nieznośnie piekąca w gardle, gdyśmy już wychylili byli parę kieliszków wina, zdaleka tylko spokrewnionego z węgrzynem naszych stołów szlacheckich, gospodarz [illegible]ny na to, że:

Węgier, Polak dwa bratanki,
I do szabli i do szklanki,

zaczął się poufale rozgadywać. Był to typ węgierskiego szlachcica dawnej daty, wielce zbliżonego w charakterystycznych rysach do szlachcica polskiego z przedrozbiorowych czasów. W oczach jego naród węgierski, to była szlachta węgierska sama jedna, inne zaś klasy były na to tylko stworzone, aby jej służyły. Dlatego też zmiany, świeżo zaprowadzone naówczas w jego kraju, które pozwoliły chłopom pracować wyłącznie dla siebie, a nie dla szlachty, były mu nienawistne.

— Dawniej—mówił nam ze słowacka po polsku—szlachta nasza słynęła z gościnności i hojności, teraz zaś, gdy za sprawą tego kalwina Kossutha, odjęto nam nasze odwieczne prawa, gdy nas opodatkowano i z chłopów naszych porobiono panów na swoich zagrodach, nie jesteśmy w stanie uczciwie przyjąć gościa. Dziś chłop nie wiele bogatszy, niż był, a szlachta zeszła na biedaków.

Po tem pierwszem a szczerem odezwaniu się naszego amfitriona, pomyślałem sobie: straciliśmy parę dni, najniepotrzebniej zbaczając z naszej drogi, ażeby zakosztować tej gościnności z papryką i kwaśnem winem, i zacząłem w duchu wyrzekać na lekkomyślność ziomka naszego w Krakowie, który w najlepszej chęci zapewne, ale, nie znając sposobu myślenia tego obywatela, przyniósł nam list rekomendacyjny do niego i z gorącą namową, abyśmy do jego domu wstąpili. Lecz po chwilce rozwagi spostrzegłem, że możemy pewną korzyść wyciągnąć

z dziwnej owej okoliczności, która na wstępie naszym na węgierską złemię zetknęła nas z zapalonym przeciwnikiem Kossutha. Kto wie — powiedziałem sobie—może, popędziwszy go na szersze pole poufnej gawędki, wykryje nam prawdziwie ujemne strony charakteru lub położenia człowieka, na którym tyle budujemy nadziei i będziemy wiedzieli, jak z nim począć. Popchnąłem więc dalej rozmowę dosyć kłopotliwą dla nas z początku.

— Zapewne—rzekłem—szlachta węgierska poniosła ciężkie ofiary, ale sądziłem, że była do nich gotową, skoro obie izby sejmowe przyjęły wygotowane przez Kossutha podanie do cesarza o opodatkowanie szlachty i uwolnienie chłopów od wszelkich pozostałych jeszcze powinności poddańczych, które wraz z innemi żądaniami uzyskało sankcyę cesarską.

— Ech!—odpowiedział Węgier niecierpliwie—widzę, że panowie nieświadomi jesteście zupełnie, jak się rzeczy działy. Pozwólcie mi opowiedzieć wam to od początku.

O wszystkich zmianach, jakie zaprowadzone zostały u nas w marcu tego roku, nikt jeszcze w lutym nie myślał prócz jednego Kossutha. Kossuth już od 1830 r. rzucał między naród idee demokratyczne w mowach swoich na rozmaitych zgromadzeniach i w pismach, mianowicie też, kiedy był redaktorem głównym dziennika *Pesti Hirlap* („Gazety Peszteńskiej); ale idee te przyjmowały się tylko między wychowańcami szkół kalwińskich, z jakich i on sam wyszedł. Do sejmu one nie przeniknęły. Kossuth sam, kilka lat temu, wyszedł był

z redakcyi *Gazety Peszteńskiej* i ucichł, rzuciwszy się w przedsiębiorstwa przemysłowe. W roku zeszłym dopiero wybrany posłem na sejm przez komitet Peszteński, wrócił do życia politycznego, ale aż do rewolucyi lutowej we Francyi z żadnym planem reform nie występował. Rewolucya francuska zelektryzowała go i 3 marca wynagrodził sobie kilkoletnie milczenie piorunującą mową w izbie poselskiej, która wstrząsła w podstawach swoich całą monarchią austryacką. Wszędzie się młodzież rozogniła, wszędzie masy zaczęły się poruszać i wszędzie powtarzano te słowa mówcy: „Politykę Metternicha czuć trupem". To był cios *á la Jarnac*, którym Kossuth zabił system Metternichowski, wymierzywszy go w chwili sposobnej.

— I dobrze uczynił — wyrwałem się prawie mimowolnie.

— Nie przeczę temu—odparł Węgier—ale było to wypowiedzenie wojny na śmierć Austryi, która na tym systemacie utkwiła jak na bezpiecznej kotwicy, i lubo go się zarzekła w chwili trwogi, trzyma go jednak w odwodzie i niebawem jawnie wróci do niego. Na zakończenie mowy swojej—ciągnął dalej nasz gospodarz — przedstawił Kossuth izbie projekt owego podania do cesarza, w którem domagał się naprzód odrębnego i odpowiedzialnego ministeryum dla Węgier; pod tarczą zaś tego tak ponętnego dla naszego patryotyzmu żądania, zamieścił szereg innych, czysto demokratycznych, na korzyść chłopów, a krzywdę szlachty. Mogę panom śmiało zaręczyć, że ogromna większość w Izbie słuchała z wewnętrznem oburzeniem tych ostatnich

wymysłów, ale przekonana, że je Izba magnatów niewątpliwie odrzuci, chciała zwalić na nią niepopularność za rozstrzygnięcie w sposób tak doraźny ciężkiej kwestyi demokratycznej, a sama głosowała z udanym entuzyazmem za całem *factum* Kossutha, ażeby tanim kosztem pozyskać sobie sławę arcyliberalnego zgromadzenia.

W trzy dni potem, to jest 6 marca, podanie przesłane zostało do Izby magnatów, która niestety, nie miała odwagi wręcz go odrzucić, wolała sprawę puścić w odwłokę pod pozorem, że arcyksiążę Palatyn wraz z kilkoma największymi figurami z Izby, był w Wiedniu, i że w ich nieobecności nie należało Izbie stanowić w tak ważnym przedmiocie. Kossuth, widząc tę chwiejność magnatów, uderzył na nich natarczywie w Izbie poselskiej, powiedział, że postępują nie konstytucyjnie i zagroził, że jeśli ociągać się będą dłużej z decyzyą, to Izba posłów zmieni się w konwencyę. Na jego wniosek Izba wystosowała do nich *Nuntium*, to jest odezwę, w tymże duchu. Poruszyło ich to i wyznaczyli dzień 14 marca na obrady nad podaniem Kossutha. Było to 9 marca i Kossuth miał cztery dni przed sobą, ażeby przyrządzić matnię, w którą tę nieradną Izbę wpędził. 14 marca rano całe miasto Peszt napełnione było włościanami, których sprowadził z okolic. Przybyła milicya z Presburga, a kto tylko mógł ze stronnictwa demokratycznego z dalekich nawet stron podążył do Pesztu na ten dzień stanowczy. Byłem i ja tam, i jako świadek naoczny opowiadam wam, co się działo.

Na parę godzin przed otwarciem posiedzenia

wróciła z Wiednia deputacya, wysłana z Izby magnatów do cesarza w początkach marca pod przewodnictwem arcyksięcia Palatyna i przyniosła wiadomość, że w Wiedniu rewolucya i że Metternich złożył wszystkie swoje urzędy. Był to skutek mowy Kossutha z 3 marca. Zarzewie, które on rzucił między studencką młodzież i gawiedź wiedeńską, tlało dni kilka. Hałasy były na ulicach, krzyczano na Metternicha, gromadzono się coraz tłumniej; nakoniec 13 marca wybuchły wszystkie żywioły rewolucyjne i zaczęły się owe ustępstwa ze strony rządu, które w kilku dniach następnych zmieniły w chaos całą monarchię austryacką.

Wiadomość o wybuchu wiedeńskim przeraziła naszych magnatów, a w dodatku, idąc do Izby, przeciskać się musieli przez tłumy ludu, które ją oblegały; nawet w sali posiedzeń miejsca, przeznaczone dla publiczności, były motłochem przepełnione. Po otwarciu posiedzenia prezydujący wyprawił dwóch członków do ludu na placu, ażeby się spytali, w jakim celu zgromadził się tak tłumnie. Wysłańcy wrócili z odpowiedzią od przywódców tego zbiegowiska, że włościanie z okolic, a z nimi lud Pesztu, zebrali się przed pałacem w nadziei, iż Izba magnatów przyłączy się do podania posłów i czekają spokojnie na rezultat głosowania dostojnych panów w tym przedmiocie, ażeby im swoje podziękowania oświadczyć. Odpowiedź ta, widocznie przez Kossutha zawczasu ułożona, znaczyła w gruncie, że jeśli Izba magnatów podanie odrzuci, to ją lud rozpędzi. Magnaci pospuszczali głowy; niejeden zapłakał w cichości, ale pod takim naci-

skiem zdecydowali się wszyscy głosować za podaniem do cesarza, które majątki ich o więcej niż połowę zmniejszyć miało. Kossuth tryumfował. Wieczorem cała tłuszcza różnorodna, którą on poruszał po woli swojej, wyprawiła *Fackelzug* na jego cześć. Nie zapomnę nigdy tego, niewidzianego jeszcze u nas, widowiska. Na czele szła milicya Presburska z pochodniami, chorągwiami narodowemi i muzyką, a za nią potok ludu z krzykami, które się na całe miasto rozlegały. Ta hałaśliwa procesya zaszła przed gospodę pod *Grünen Baum*, gdzie mieszkał Kossuth, który wyszedł na balkon i długą mową uraczył swoich czcicieli. Tłum mu odpowiedział okrzykami *Elien*, poczem udał się w tymże samym porządku przy odgłosie marszu Rakoczego, który grała muzyka milicyi Presburskiej, przed pałac Palatyna, lecz wątpię, żeby ten był z tego uczczenia równie uradowany jak Kossuth. Przez cały dzień następny przeciągnęły się jeszcze bachanalie ludowe, a 16 marca deputacya obu Izb sejmowych, z arcyksięciem Palatynem na czele, powiozła do Wiednia dzieło Kossutha, żeby go cesarzowi przedstawić. W każdym innym czasie byłby go monarcha bez najmniejszego wahania się odrzucił, ale wobec rewolucyjnej zawiei, która się już na całe państwo była rozciągnęła lubo wojsko zostało mu wierne, na wszystko się zgadzał, czego tylko od niego rewolucya żądała. Przychylił się też i do podania przyniesionego mu przez deputacyę naszych Izb sejmowych, nie wyłączając żadnego zawartego w niem żądania. Tym to sposobem udało się Kossuthowi, który przed rokiem był adwokatem bez klientów,

dziennikarzem bez dziennika, przeprowadzić w kraju naszym radykalne zmiany, o których się nikomu pierwej nie śniło, którym cała szlachta była przeciwna, a w nagrodę za to samemu zostać ministrem skarbu w pierwszem ministerstwie odrębnem i odpowiedzialnem w Węgrzech.

— Manewrował biegle — pomyślałem sobie — i w okolicznościach nadzwyczaj przyjaznych jego planom a jako oswobodziciel chłopów, pozyskał sobie podstawę, z której niełatwo go będzie zwalić. Lecz tę uwagę schowałem dla siebie. Węgra zaś, chcąc nieco pocieszyć, powiedziałem mu, że naród jego, uzyskawszy zupełny samorząd, jeżeli będzie miał ministrów zdolnych, dbałych o wzrost przemysłu, rolnictwa, handlu — o zaprowadzenie dróg bitych, dróg żelaznych, żeglugi na rzekach i o inne ulepszenia materyalne, to straty poniesione przez szlachtę, przez usamowolnienie chłopów, będą w kilku latach sowicie wynagrodzone.

— Och!—odrzekł Węgier—samorząd nasz potrwa miesiąc, dwa lub trzy, a potem wrócimy do dawnego stanu, lecz szlachta już tego nie odzyska, co jej odjęto.

— Dlaczegóż pan tak źle wróżysz o prawach uzyskanych świeżo przez swoich współziomków? — spytałem go, przerywając mu z ciekawością.

— Bośmy je uzyskali—odpowiedział mi—pod naciskiem okoliczności nadzwyczajnych, nieprzyjaznych monarchii, a nie mamy dosyć sił, aby je utrzymać. Wszakżeż już miano ochotę koniecznie nam je odebrać i w tym celu podszczuto przeciw nam Kroatów; to był początek wojny między do-

mem Rakuskim a Węgrami; wojny dotąd jeszcze nie jawnej, bo rząd austryacki ma ciągle do czynienia to z Włochami, to z Czechami, to z Wiedeńczykami; ale niech się z innych stron uspokoi, to na nas uderzy z całą swoją siłą. Widząc też, na co się zanosi, ministeryum Bathyani'ego usunęło się. Arcyksiążę Palatyn wyjechał z Węgier, a sejm nie widział innej rady, jak powierzyć władzę prawie dyktatorską Kossuthowi, który nas tem w ogromny kłopot wprowadził. Czy zaś wyprowadzi nas z niego? to wielkie pytanie.

— My Polacy — odezwałem się—widzimy rzeczy jakoś w lepszem świetle; wprawdzie z po za gór. Mamy nadzieję, że Węgrzy dadzą radę domowi Rakuskiemu, a w następstwie sprowadzą rozpadnięcie się całej budowy kongresu wiedeńskiego. Ta nadzieja przywiodła nas tu, jak pan widzisz, aby związać ściślej na polu bitwy sprawę polską ze sprawą węgierską.

Węgier się skrzywił. — Ale na czemże panowie—rzekł—budujecie tę piękną nadzieję?

— Najprzód na patryotyzmie Madziarów—odrzekłem — i na materyalnej nawet ich sile wobec skołatanej Austryi, a następnie na okolicznościach, które się na to składają, ażeby im dać przewagę. W tej chwili nie jestże Wiedeń w pełnej rewolucyi? Wiedeńczycy czekają na pomoc Węgrów, a jakaż wyborna sposobność, żeby wziąć armię Windischgrätza i niedobitki Jelaczyca, oblegające stolicę austryacką, we dwa ognie. Nie wątpię—mogę nawet powiedzieć, iż Europa cała nie wątpi, że Kossuth

błędu tego nie popełni, aby zostawił Wiedeńczyków na pastwę wojskom, oblegającym ich miasto.

— Ale z czemże pan chcesz, żeby im przyszedł na odsiecz? — odparł nasz gospodarz—nie ma on armii Sobieskiego, możesz mi pan zawierzyć — dołożył żartobliwie.

— Ale nie ma też pod Wiedniem Kara-Mustafy z całą dawną potęgą Ottomańską—odrzekłem nie mniej żartobliwie—jest tam tylko Windischgrätz z niewielką siłą i Jelaczyc już poprzednio pobity przez Węgrów.

— Za pozwoleniem—przerwał mi—armia główna Windischgrätza liczy 50,000 ludzi, a niedobitki Jelaczyca to jeszcze 20,000 żołnierzy; oto jest siła oblegająca w tej chwili Wiedeń, na skrzydlach jej jest jeszcze, razem wziąwszy, około 30,000 wojska a w dodatku 8,000 stoi na Spiżu, tak, że jeżeli Kossuth zechce przyjść w pomoc Wiedeńczykom, będzie miał do czynienia z armią przeszło stutysięczną.

— Niechże i tak będzie — rzekłem, trochę zakłopotany — ale przecież Węgrzy mogą wystawić większą jeszcze siłę.

Węgier się rozśmiał. — Wiesz pan—zagadnął mnie—wiele Kossuth mógł wystawić wojska, ażeby odeprzeć napaść Kroatów? Oto 15,000 tysięcy, ściągnąwszy wszystkie siły porozrzucane po kraju.

— A gdzież są—spytałem — owe 200,000 nowego wojska, którego pobór z takim entuzyazmem, pamiętam to, zawotowany został przez sejm na wniosek Kossutha jeszcze w pierwszej połowie lipca?

— Na papierze w archiwach sejmowych—odpowiedział Węgier. — Cały ten entuzyazm odegrany został dla Wiednia i dla Europy, a rzeczywiście z owego postanowienia sejmowego jedna część tylko weszła w wykonanie, to jest upoważnienie dla Kossutha, wówczas ministra skarbu, do wypuszczenia w obieg banknotów na 60 milionów złr., bo w skarbie było pusto, jak w kieszeni pana ministra.

— Jakto — wykrzyknąłem — więc cała siła zbrojna Węgierska ogranicza się na 15,000 wojska!

— Hm — odrzekł, po chwili zastanowienia — dziś jest zapewne trochę więcej. Kossuth miał czas sprowadzić oddziały, które były na krańcach Węgier na północy i na wschodzie w czasie najścia Kroatów i tym sposobem armia nasza, stojąca pod dowództwem generała Mogi nad granicą austryacką, może wynosić dwadzieścia, lub najwięcej dwadzieścia kilka tysięcy ludzi; zwłaszcza jeżeli żołnierze nasi z półków, będących w granicach Austryi, nie przestają przechodzić do Węgier.

— A więc — spytałem — są jeszcze pułki węgierskie w granicach Austryi? Przecież powrót ich do kraju zawarowanym był w podaniu sejmowem, do którego się cesarz przychylił.

— Tak—odpowiedział Węgier—było to przyrzeczone i w pierwszej chwili dozwolono wrócić sześciu batalionom i około trzydziestu szwadronom, które się połączyły z dawniej będącymi w kraju pułkami węgierskimi i składają razem ową armię dwudziestotysięczną, o której dopiero co mówiłem; ale jak tylko rząd cesarski ochłonął nieco z pierw-

szego postrachu, wstrzymał powrót reszty pułków węgierskich. Kilka szwadronów huzarów, które konsystowały w Galicyi i miały oficerów rodaków, przebiły się do kraju, nie pytając o pozwolenie. Z innych zaś pułków naszych, porozrzucanych po różnych krajach austryackich, poczciwi żołnierze nasi przemykają się do nas tylko pojedyńczo i nie wielu to się udało, a takich pułków jest dosyć znaczna liczba; w samych Włoszech pod marszałkiem Radeckim jest 12,000 Węgrów i ci dla sprawy narodowej są straceni.

Za to przyznaję, że mamy od marca honwedów, czyli gwardyę narodową, której część możnaby uruchomić, ale wszystkiego jest 10 batalionów honwedów po 1,200 ludzi każdy, czyli razem 12,000 honwedów w całym kraju. Od trzech tygodni zaczęto organizować korpusy partyzantów. Rozporządzenie w tym względzie wyszło od ministeryum Bathyani'ego na parę dni przed jego ustąpieniem. Miało być takich korpusów 4, każdy po 10,000 ludzi. Mianowano dowódców, naznaczono jako miejsca werbunku miasteczka: Papa, Bacz, Solnok i Arad, ale zaledwie, że się zebrały pierwsze garstki ochotników, trzeba było je czemprędzej wyprawić przeciw Kroatom, nie czekając, żeby się choć trochę nauczyły władać bronią. Ta ruchawka stanowi dziś korpusik Percela wraz z batalionem przez niego na własną rękę jego uformowanym w komitacie Tolna. Podobno oszczędzono jeden zarodek korpusu partyzanckiego z czterech zamierzonych i ten organizuje się dalej w Aradzie pod dowództwem Maryaszego. Formuje się także w Peszcie parę bateryi artyleryi,

a instruktorami—zabawna to rzecz—są artylerzyści austryaccy z Budy. Legion szumnie nazwany „Hunyady", którego twórcą jest Kossuth, miał być z 1,200 piechoty i 800 huzarów. Kossuth, wystąpiwszy z ministeryum. Bathyani'ego, bardzo czynnie organizacyą tego legionu się zajmował, ale dziś ma ważniejsze rzeczy na głowie i nie wiem, kto dalej dzieło jego prowadzi. Otóż wyliczyłem panom wszystkie siły i siłki, jakiemi Kossuth rozporządza. Powiedzcież mi otwarcie, czy jest z czem tak bardzo wojować? Mogliśmy Kroatów rozpędzić, ale damyż radę stutysięcznej armii austryackiej, za którą w potrzebie znajdzie się druga niemniej potężna?

— Ależ—odrzekłem—Węgrzy są narodem licznym i walecznym i mogą także wystawić dwakroć, a nawet trzykroć stotysięcy wojska, byleby Kossuth rozwinął niezłomną energię, jakiej okoliczności wymagają.

Uśmiech lekko szyderczy Węgra, na tę apostrofę do jego miłości własnej narodowej dał mi poznać, że wcale go nie tknęła.—Zaiste—rzekł—można w Węgrzech oderwać trzykroć stotysięcy chłopów od roli i wyrobników od rzemiosł, ludzi u nas nie brak, lecz niestety, brak nam wszelkich środków, ażeby z takiego motłochu zrobić armię porządną. Rząd austryacki postarał się o to, aby nas pod tym względem zupełnie ubezwładnić. Chciał mieć żołnierzy węgierskich, ale nie chciał mieć Węgrów oficerów, szczególniej też w węgierskich pułkach i tak też utrudnił wykształceńszej młodzieży zawód wojskowy, że ją od niego odstręczył. Ci, którzy z temi trudnościami odważyli się walczyć, nie czując

się zapewne usposobionymi do innego zawodu, musieli, po większej części, wejść do pułków niemieckich i zostali Niemcami, karyerowiczami. Zaledwie kilku z nich ofiarowało w dzisiejszych okolicznościach usługi swoje ojczyźnie. W pułkach węgierskich jest bardzo mało oficerów Węgrów i pułki te pomięszane są z niemieckiemi w brygadach i dywizyach pod dowódcami różnych narodowości, ale nie Madzyarami. Z takiego składu rzeczy wynikło, że gdy sejm uchwalił wystawienie dwukroćstotysięcznej armii, nie było dosyć oficerów i podoficerów, nietylko ażeby uorganizować armię, ale choćby nawet jedną nową porządną brygadę. Dowództwo starych naszych pułków trzeba było zostawić generałowi Moga, Wołochowi, którego przychylność dla węgierskiej sprawy jest arcywątpliwą. Musiano także zostawić na czele fabryk broni, prochu i wszystkich zakładów wojskowych, Niemców, którzy niemi dawniej zawiadywali, bo nie było uzdolnionych do tego Węgrów. Nie było komu nawet powierzyć ministeryum wojny, póki się nie zjawił Messaros, przybyły z Włoch i jako tako obeznany z administracyą wojskową, ale nie mógł on stworzyć ani korpusu oficerów czysto węgierskich, ani ludzi fachowych do objęcia tych rozmaitych posad, które są niezbędnemi kółkami w mechanizmie potęgi wojskowej. Utworzenie armii węgierskiej zostało więc problematem, na którego rozwiązanie adwokacki rozum Kossutha nie wystarcza.

Nie wiedziałem już co Węgrowi na to odpowiedzieć; przybił mnie, jakby maczugą. Nastąpiło milczenie, wśród którego usłyszeliśmy staroświecki

zegar, bijący jedenastą godzinę. Powstaliśmy i powiedzieliśmy dobranoc gospodarzowi, który nas odprowadził do przygotowanych nam na nocleg, owych wysławianych już przezemnie wązkich łóżek, w malutkiej izdebce i pożegnał uprzejmie, rad bardzo— malowało się to na jego twarzy—że wyrzekł ostatnie słowo w dyskusyi.

Trudno nam było obu zasnąć po tej rozmowie. Wszystko, co nam Węgier opowiadał, razem wzięte, ukazało nam w tak niekorzystnem świetle sprawę węgierską, żeśmy zaczynali już powątpiewać, czy pielgrzymka nasza ma cel użyteczny i praktyczny.

Obradowaliśmy nad tem długo; powoli otrząsnęliśmy się z pierwszego dotkliwego wrażenia i zgodziliśmy się na to, że nie mamy żadnego uzasadnionego powodu, ażeby odstąpić od naszego przedsięwzięcia; że utworzenie armii węgierskiej bez oficerów, jest wprawdzie ogromnem zadaniem, ale właśnie Polacy mogą być w tem niezmiernie użytecznymi Węgrom. Emigracya dawna była jeszcze w owej epoce, z małym wyjątkiem, w sile wieku i mogła im dostarczyć generałów, pułkowników i oficerów niższych wszelkiej broni, z których znaczna liczba wyszła była ze szkół wojskowych, a liczyliśmy na patryotyzm wszystkich, że nie odmówią usług swoich Węgrom, skoro ci się zobowiążą, że nawzajem pomogą nam do odzyskaniu ojczyzny. Chodziło tylko o to, czy będzie dosyć czasu na sformowanie armii węgierskiej, wobec tak szybko rozwijających się wypadków, które ciągnęły za sobą nieodwłoczną wojnę między domem Rakuskim a Węgrami, ale

blizka już zima dozwalała wróżyć, że choćby się czynności wojenne rozpoczęły, to niezadługo, w skutek mrozów i śniegów przerwanemi zostaną aż do wiosny. Zgoła zgodziliśmy się na to, że brak sił uorganizowanych w Węgrzech, nie był żadnym szkopułem dla naszej misyi, lecz owszem, użyteczność jej poniekąd podwajał, byleby Kossuth jasno to pojmował, że w obec Rosyi niezawisłe Węgry bez niezawisłej Polski ostaćby się nie mogły, a o wysokim poglądzie Kossutha na rzeczy ani jeden ani drugi nie wątpiliśmy. Człowiek ten w oczach naszych górował nad poziomem powszechnym roku 1848. Z samego opowiadania Węgra, jakkolwiek mocno zaprawione było żółcią, pokazywało się, że on był jedyną dźwignią swojego narodu, że na jego głowie wszystko w Węgrzech spoczywało w ówczesnych okolicznościach, i że aż do chwili, do której się ten rozdział wspomnień moich odnosi, prowadził podjętą przez siebie sprawę oswobodzenia i odrodzenia ojczyzny, śmiało, wytrwale, z nadzwyczajną zręcznością i wielką logiką, zacząwszy przedsięwzięcie swoje od usamowolnienia i uwłaszczenia chłopów, o czem my, na nieszczęście nasze, nigdy szczerze nie pomyśleliśmy, tyle razy podnosząc broń, a co jemu dało ogromną siłę do dalszego działania.

Wszystkie te uwagi, które nam z kolei się nasuwały jednemu i drugiemu, dodały nam otuchy, i w ten sposób zakończyliśmy naradę, rozpoczętą w smętnym humorze—prawie w zniechęceniu.

Mój kolega zasnął smacznie; ja zaś dobyłem ołówka z pugilaresu, papiery z tłomoczka i resztę nocy spędziłem na spisywaniu protokularnem, za

świeżej pamięci, rozmowy, jaką mieliśmy z Węgrem. Na mnie bowiem spaść miał cały trud rokowania z Kossuthem, ponieważ kolega mój znał tylko język ojczysty, który niestety, nie wiele więcej znanym jest w Europie niż Chiński. Do tego zaś rokowania chciałem być uzbrojony w argumenta, oparte, ile możności, na dokładnej znajomości stanu wewnętrznego Węgier.

Nazajutrz po kawie rannej, którą nas uczęstował nasz gospodarz, podziękowawszy mu serdecznie za gościnność, pożegnaliśmy go i wyjechaliśmy, na góralskim wózku, który nas do niego przywiózł, do Preszowa, gdzieśmy przed wieczorem stanęli.

W Preszowie zamieszkiwał od wielu lat Polak emigrant z 1831 roku, który trudnił się kupiectwem i zrobił był sobie na tem mająteczek; mieliśmy do niego list polecający z Krakowa. Przyjął nas po bratersku, przepędziliśmy z nim wieczór i cały prawie dzień następny, bo dyliżans wyjeżdżał wieczorem dopiero do Pesztu. Czas ten bardzo mile nam zeszedł. Ziomek nasz, którego nazwiska przypomnieć już sobie nie mogę, tak samo jak i nazwiska Węgra, u któregośmy gościli, nie nosił na sobie tego piętna walki z biedą i przeciwnościami różnego rodzaju, które znamionuje większą część emigrantów naszych we Francyi; żył między Słowakami jak między swoimi, szanowany i kochany od wszystkich, szczęście mu służyło, echa z kraju go dochodziły, i dlatego zachował był humor wesoły i gościnność szczerą, wylaną, prostoduszną. Oprowadzał nas po swojem miasteczku, które jest murowane, schludne, wesołe i niezeszpecone brudnem żydostwem, jak na-

sze miasta i miasteczka. W jednem miejscu była jakaś chłopska zabawa. Zaszliśmy tam i przypatrywaliśmy się tańcom z prawdziwą przyjemnością. Lud słowacki zachował w narzeczu swojem, w fizyonomii, a nawet w ubiorze, tańcu i ruchach tak widoczne cechy ścisłego pokrewieństwa z naszym ludem krakowskim, żem go braterskiem uczuciem pokochał. Pokrewieństwo to stwierdza historya; ziemia krakowska wchodziła bowiem w skład państwa wielkiej Morawy, po którego rozpadnięciu się dopiero zagarnął ją Chrobry pod sweje berło. Lud słowacki jest pracowity, przemyślny, znacznie wyższy pod względem intelektualnym od ludu madziarskiego, rozrasta się też i bogaci, a w niedalekiej zapewne przyszłości wyruguje go zupełnie za Cisę.

W domu naszego ziomka poznaliśmy także kilka osób z mieszczaństwa Preszowskiego, złożonego wyłącznie prawie ze Słowaków. Mężczyźni byli przyzwoici, kobiety wesołe i uprzejme; mówiliśmy do nich po polsku, oni do nas po słowacku i rozumieliśmy się bardzo dobrze, czasami tylko nie mogliśmy się wstrzymać od uśmiechu, słysząc wyraz jakiś, dosyć twardy w naszej mowie, zmiękczony po słowacku tak, jak go małe dzieci u nas wymawiają, a za każdym uśmiechem naszym damy się rumieniły.

Ziomek nasz nie mógł nam dać zrazu bardzo szczegółowych objaśnień o stanie wewnętrznym Węgier. Lecz gdym mu przeczytał protokół naszej rozmowy z Węgrem, poświadczył, że w opowiadaniu tem jest rzetelna prawda, tylko cierpko wyrażona; dołożył, że w ogóle szlachta osiadła jest Kossuthowi

przeciwną, że niemniej przeciwne mu jest duchowieństwo katolickie, zwłaszcza wyższe, że ludzie, którzy dawniej pozyskali sobie byli sławę patryotów, poodsuwali się od niego jeden po drugim, w miarę jak się przybliżał do ostatniego rezultatu swojej polityki, to jest do zupełnego z Austryą zerwania, którego sobie żaden z nich nie życzył; że dziś niema ani jednego człowieka zdolnego w jakimkolwiek bądź fachu, na którego by się szczerze mógł spuścić; że w chmarze stronników jego najwięcej jest takich, którzy o własnem tylko wyniesieniu myślą i że Niemcy, których zostawiono na czele fabryk i innych zakładów wojskowych, wszystko na wspak robią, żeby Węgrom szkodzić.

Wymieniwszy te strony ujemne sytuacyi Kossutha, wskazał nam jako jej stronę dodatnią, ogromną jego popularność między ludem prostym tak na wsiach jak i w miastach, oraz między młodzieżą madziarską, wyszłą ze szkół protestanckich, w których — wierności dla katolickiego cesarza Austryi nie bardzo snać uczono. Tę wierność zachował wprawdzie w sercu swojem lud wiejski, ale potrafiono go trochę obałamucić tem, że to król węgierski w sporze jest z cesarzem austryackim.

W konkluzyi ziomek nasz nie odradzał nam bynajmniej podróży naszej do Pesztu i owszem sądził, jak i my, że Polacy są Węgrom potrzebni, że kilkudziesięciu oficerów polskich może dać pomyślny obrót sprawie węgierskiej przy zasobach, jakie kraj ten posiada i że raz związani z nami Węgrzy, jeżeli zdobędą sobie niezależność, zmuszeni będą samą mocą okoliczności, podnieść sprawę Polską.

Pożegnaliśmy poczciwego ziomka naszego, zabawiwszy u niego całą dobę i puściliśmy się w dalszą drogę dyliżansem przeszłowiecznej mody, dobrze wysłużonym i trochę kaleką, bo resory jego były postronkami pozwiązywane, a wielki gościniec do Pesztu nie był drogą bitą, ani nawet wyrównaną. Częstokroć sterczały pagórki na środku, czasami z jednego brzegu do drugiego takie było pochylenie, że powozom trudno było się na niem w równowadze utrzymać. Na jednej takiej pochyłości dyliżans nasz się przewrócił i o mało się w kawałki nie rozleciał. Rankiem przejechaliśmy przez Koszyce, jeszcze słowackie miasto średniowiecznej postaci, otoczone murem ze strzelnicami, basztami i bramami, które dopiero otwierano gdyśmy wjeżdżali! Na rynku przed winiarniami obywatele posilali się winem czerwonem na śniadanie, zamiast kawy lub herbaty; byliśmy bowiem w kraju winnym, którego prawdziwą stolicą jest Erlau. Przejeżdżaliśmy następnie przez Miszkowiec, czyli Miskolcz — niezbyt odległy od Cisy a od którego zaczyna się kraj madziarski — przez tylko co wspomniane, Erlau, po madziarsku Jäger, położone wśród sławnych winnic, zasłoniętych od północy parawanem gór neogradzkich, któremu zawdzięcza smak wyborny swoich gron; dalej przez Gyöngyös otoczony wieńcem ogrodów, dostarczających Pesztowi kwiatów i owoców, które nie równają się jednak z owocami Banatu i ku wieczorowi, trzeciego dnia po wyjeździe naszym z Preszowa, stanęliśmy w węgierskiej stolicy.

Już było zapóźno, żeby się tego samego dnia

przedstawić Kossuthowi. Poświęciliśmy więc resztę wieczora na zwiedzenie miasta. Peszt od niedawnego czasu zaczął się był podnosić i prócz swojego szerokiego Dunaju, kilku dosyć pokaźnych budowli, mianowicie hotelów nowo wystawionych nad jego brzegiem i imponującego położeniem swojem na wysokim wzgórzu, królewskiego zamku w Budzie, nic nie miał, coby uwagę cudzoziemca na siebie ściągało.

Zresztą było to wtenczas jeszcze raczej niemieckie niż madziarskie miasto; w sklepach i na ulicach język niemiecki przeważnie było słychać. Wstąpiliśmy do jednego księgarza, u którego widziałem wystawionych niemało broszur i książek w madziarskim języku i zażądawszy przewodnika po Peszcie, powiedziałem księgarzowi sposobem komplementu, że madziarska literatura bezwątpienia kwitnie, skoro tyle u niego widzę publikacyi w tym języku.

Księgarz, który był Niemcem, rozśmiał się rubasznie.

— Te publikacye, mój panie — odrzekł — dowodzą właśnie, że literatura madziarska jest poronionym płodem. Jest ich pełno u mnie dlatego, że ich nikt nie kupuje; próżno mi miejsce zawalają.

— Madziary więc nie lubią czytać? — spytałem go.

— Czytają — odpowiedział — ale tylko książki niemieckie, bo prawdziwym językiem klas wykształceńszych w Węgrzech jest niemiecki. Madziarskie-

go uczą się od niedawnego czasu i bardzo wielu jeszcze go się nie douczyło. Rozumieją go, ale nie są w stanie płynnie nim mówić, a mniej jeszcze nim pisać.

— Więc patryotyzm madziarski — rzekłem — jest tylko powierzchownym?

— Patryotyzm madziarski—odparł księgarz — mało ma styczności z ich językiem — i dodał z ironią—opiera on się na czemś silniejszem, to jest na ogromnej miłości własnej i pysze narodowej Madziarów.

Uwaga ta rubasznego księgarza Niemca naprowadziła mnie na wniosek, że wszelka narodowość najdłużej się utrzymuje ze swojemi odrębnemi cechami w ludzie prostym, i że tam ma właściwie swoje korzenie. Pychę klas wyższych może rząd zaborczy ująć sobie tytułami, orderami, łaskami różnego rodzaju, które go niewiele kosztują i tym sposobem łatwo je wynaradawia. Lecz lud prosty zostaje przez długie wieki wiernym swojej przeszłości, jak to widzimy na Śląsku, i czasami z jego łona zdrowe soki wstępują w te klasy, niby wyższe a podobne do schnących konarów na drzewie burzą strzaskanem i ożywiają je napowrót życiem narodowem. Takie widowisko przedstawiły Czechy w okresie od ostatnich lat wieku zeszłego aż do środka teraźniejszego, kiedy widziano panów czeskich przed niedawnym czasem jeszcze zniemczałych, z nazwiskami swojemi rodowemi, przetłomaczonemi na niemieckie, przeistaczających się napowrót w patryotów czeskich. Podobnyż fenomen

zaczął się objawiać w Węgrzech na lat kilka przed naszą podróżą i zastaliśmy go w pełnym rozwoju.

Następnego dnia przed południem udaliśmy się do skromnej kamienicy, w której komitet obrony krajowej miał swoje biuro. Powierzyliśmy jednemu z urzędników nasze pełnomocnictwo, które wraz z podpisami stanowiło dosyć spory foliał, ażeby go prezydentowi wręczył i prosił od nas o wyznaczenie nam dnia i godziny na posłuchanie, jeżeli go nam udzielić zechce. Niebawem wyszedł dyrektor policyi i oświadczył nam, że prezydent nie ma dziś jednej minuty wolnej, przygotowując wyprawę na odsiecz Wiednia i że sam jutro wyjeżdża do obozu stojącego nad granicą austryacką, ale prosi nas, abyśmy mu towarzyszyli na statku parowym do Granu, a będzie mógł z nami szeroko rzecz naszą debatować. — Jeżeli panowie zgadzacie się na to—rzekł na końcu—bądźcie o 8 ej rano na wybrzeżu przed statkiem parowym, przedstawię was prezydentowi i wsiądziecie z nim na statek.

Ukłoniliśmy się, odpowiadając, że zastosujemy się do woli prezydenta i nazajutrz stawiliśmy się przed ósmą rano na wyznaczonem miejscu, gdzie zastaliśmy tłum zgromadzony, by pożegnać ulubionego naczelnika narodu.

O ósmej przybył Kossuth w mundurze honwedów pod szaraczkowym surdutem, przypominającym *małego kaprala* i w kapeluszu z czarnem piórem na kształt Franciszka I-go. Za nim szła dosyć liczna świta, a w niej dyrektor policyi, który mu nas przedstawił. Kossuth powitał nas uprzejmie

i powtórzył zaproszenie, żebyśmy mu przez część drogi towarzyszyli. Wstąpiliśmy za nim na statek i przy odgłosie tysiącznych *Elien* z brzegu, mieszających się z hukiem kilku dział, którym odpowiadało działko wiwatowe na statku, odpłynęliśmy w górę Dunaju.

III.

Kossuth stał czas długi na wązkim mostku nad pokładem blizko steru, a za nim był adjutant jego hr. Karol Leiningen (von Alt-Leiningen Westerburg), który go pokazywał ręką tłumom zgromadzonym na brzegach Dunaju, mianowicie na lewym brzegu, bliżej którego płynął nasz statek. Były to gromady włościan z wiosek nadbrzeżnych i nieco dalszych, gęsto rozsianych w pobliżu Pesztu. Witały one grzmiącemi *Elien a Kossuth!* prezesa rządu, oswobodziciela włościan, a ze statku odpowiadały im okrzyki: *Elien a Madziar!* Głowa już mnie zaczynała boleć od tego ciągłego hałasu, ale nakoniec wpłynęliśmy między puste pola; Kossuth zeszedł do swojej kabiny i wkrótce kazał nas poprosić do siebie. Zastaliśmy go w towarzystwie dr Tausenau, którego, nie wiem dlaczego, chciał mieć świadkiem naszej rozmowy; podał nam uprzejmie rękę i wskazał miejsce obok siebie na kanapce. Wtenczas dopiero mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Był to w owej epoce człowiek w sile wieku; miał lat 46,

średniego wzrostu, szczupłej lecz kształtnej budowy ciała, twarzy pociągłej, śniadawej; z dosyć długim nosem prostym i nieco grubym, nosem słowiańskim, jedyną cechą jego chorwackiego z dziadów pochodzenia: włosy miał ciemne, wąs czarny zawiesisty i oczy czarne, nader wymowne, ale wejrzenie ich nie było wejrzeniem człowieka stworzonego do władzy, nie badało, nie przenikało nawskroś drugich, nie rozkazywało, przeciwnie, zdradzało w ciągu rozmowy własne jego wrażenia i częstokroć myśli, których wypowiedzieć nie chciał. Był to bowiem przedewszystkiem mówca szczery, sercowy, lubujący się w swojem słowie i ufający mu zupełnie, bo słowo było jego siłą, dźwignią, którą poruszał masy, a kiedy płynęło z jego ust, rozlewało się zarazem i na całej jego twarzy. Ale podobny dar ma zwykle stronę odwrotną, która najlepsze chęci świetnego mówcy zdradza, gdy wejdzie na pole praktycznego działania i tak było z Kossuthem jak to zobaczymy w następstwie. Zapytał on nas po niemiecku, czy mówimy tym językiem, odpowiedziałem mu, że kolega mój mówi tylko swoim językiem rodowitym, a co do mnie rozumiem dobrze język niemiecki, tak, iż nawet słuchać w nim mogłem kursów uniwersyteckich, ale w mówieniu nim, mało mam wprawy, i jeżeliby to panu prezydentowi było jedno, nierównie łatwiej rozmówiłbym się z nim po francusku.—„Na nieszczęście—rzekł Kossuth—jestem względem francuzczyzny w takim samym stosunku, w jakim pan jesteś do niemczyzny, to jest, że ją bardzo dobrze rozumiem, ale bardzo licho nią mówię. Jest jednak sposób zaradzenia tej trudności, a ten jest, że ja

będę do pana mówił po niemiecku, a pan do mnie po francusku". Skłoniłem się wielce zadowolony z tego układu i chciałem sprawę moją wprowadzić, ale Kossuth dał mi znak ręką, że chce sam głos zabrać, umilkłem więc. Raz, czy dwa wysunąłem się z mojem zdaniem w ciągu jego przemówienia, lecz mi znowu dał znak ręką, żeby mu nie przerywać; odtąd słuchałem go w milczeniu i tylko szum pary, regularne tętna maszyny i plusk fal, wtórowały jego słowom.

Streszczę, co mi powiedział w tem pierwszem przemówieniu, które trwało dobre pół godziny.

— Nie pierwsi panowie—rzekł mi—przybywacie do mnie z propozycyą utworzenia w Węgrzech siły polskiej. Już mi kilka takowych uczyniono w rozmaitych warunkach i z rozmaitemi planami w dodatku. Pewien dawny pułkownik polski, zamieszkały w Węgrzech (dowiedziałem się później, że to był pułkownik Jerzy Bulharyn), radził mi, ażebym utworzył jaknajprędzej korpus polski, i dodawszy mu dywizyę huzarów wyprawił go do Galicyi, zapewniając mnie, że samo ukazanie się chorągwi polskiej wywoła powstanie w tej prowincyi; być to mogło ale o trzy mile od naszych granic jest Windischgrätz i Jelaczyc, przeciw którym wszystkie siły nasze ściągnąć nam trzeba było. Hrabia Adam Potocki, żądał odemnie rzeczy wprost przeciwnej, to jest, żebym mu dozwolił uformować na ziemi węgierskiej pułk polski, który on własnym kosztem wystawi i utrzyma, ale wyłącznie dla sprawy polskiej, a Węgrzy go w żadnym wypadku użyć nie będą mogli. Odmówiłem wręcz; Węgrzy nie po-

trzebują mieć u siebie wojska, któreby nie służyło na ich obronę—i znów trzech panów, przybyłych ze Lwowa od jakiegoś komitetu młodzieży, przyobiecywało mi sprowadzić na obronę Węgier od 6 do 8 set dziarskich młodzieńców, nie żądając nic więcej jak tylko, ażebym z nich uformował batalion polskiej piechoty, szwadron jazdy i pół bateryi artyleryi, wprost w charakterze najemników, których po ukończeniu wojny wolno nam będzie rozpuścić. Nie dałem jeszcze na to odpowiedzi. Dziś panowie przychodzicie z propozycyą w większych rozmiarach i opartą na dosyć mocnym fundamencie, skoro macie za sobą półtora tysiąca młodych ludzi, którzy, jak sądzicie i czemu bardzo wierzę, przyciągnąć mogą pod swoją chorągiew całe młode pokolenie polskie; ale wieleż to trudności — ileż niebezpieczeństw dla Węgier, gdybyśmy przystąpić chcieli do wykonania waszej myśli. My mamy poddostatkiem ludzi — młodych, silnych, doskonałych na żołnierzy — tylko nie mamy czem ich uzbroić. Znaleźliśmy w arsenałach wszystkiego 40 tysięcy karabinów i z nich więcej niż połowę rozdaliśmy już Honwedom, korpusom partyzanckim i nowo tworzącym się pułkom. Mam wprawdzie nadzieję, że w niedługim czasie zapomożemy się w broń bądź z fabryk naszych, bądź z zagranicy, lecz teraz mamy jej bardzo mało i jeżeli uzbroję Polaków, to nie będę mógł uzbroić Węgrów, a lubo wysoko cenię polską waleczność, mogęż Polakom przed Węgrami powierzyć obronę kraju? To jest jedno pytanie, za którem podnosi się drugie nierównie ważniejsze a mianowicie, czy wasze mundury narodowe i wasze orły nie ściągnę-

łyby na nas Rosyan? Oto są skrupuły i obawy, które budzą we mnie wszystkie propozycye polskie w ogólności, a wasza w szczególności. Dr Tausenau, potakiwał głową tym słowom. Jeżeli panowie— rzekł Kossuth w końcu—widzicie jaki sposób dopomożenia skutecznie sprawie węgierskiej, nie narażając jej z drugiej strony na zgubę, proszę mówić, słucham.

Spytałem go, czy mogę mówić otwarcie, odkładając wszelką dyplomacyę na stronę.

— I owszem—odpowiedział mi — im szczerzej mówić będziecie; tem łatwiej się porozumiemy — jeżeli porozumienie się jest możebnem.

— Więc przedewszystkiem panie prezydencie— rzekłem — (Kossuth nie przyjmował tytułu ekscelencyi), niech mi wolno będzie oświadczyć, że pierwszy wniosek, jaki wyciągnąłem ze wszystkiego, coś mi pan raczył powiedzieć, jest ten, iż stanowczo nie życzysz sobie współudziału Polaków w sprawie węgierskiej, ponieważ zdaniem pańskiem współudział ten zamiast być pomocnym, może ściągnąć na Węgry interwencyę rosyjską. Ale jest-że rzeczą pewną, że bez polskich mundurów i polskich orłów, Rosyanie nie wtargną do Węgier w ciągu obecnej wojny?

— Jest to przynajmniej mniej pewnem — odparł Kossuth.

— Mniej pewnem odrzekłem, jeżeli wojsko austryackie samo podoła Węgrom, lecz jeżeli szala zacznie przeważać na stronę Węgier, sądzisz pan, iż Rosya spokojnie na to patrzeć będzie, jakgdyby obojętnem jej było, czy obok niej istnieje w całej

swojej dawnej potędze monarchia austryacka, związana z nią odwiecznymi sojuszami, despotycznie rządzona i trzymająca Galicyę na uwięzi, czy się rozpada, ażeby na jej miejscu powstało grono mniejszych państw republikańskich lub konstytucyjnych, przeciwnych jej polityce zaborczej? Rzućmy okiem na przeszłość.

Od podziału Polski, Rosya opiera się na potrójnem przymierzu, przewodzi mu, jest jego spójnią i nieraz już poświęciła mu swoje, zbyt gorące, zachcianki, z obawy, żeby się nie rozchwiał, bo idąc ręka w rękę z Prusami i Austryą, dzieląc się z nimi swojemi łupami, lub ofiarując im kompensacye w innych stronach, rozszerza się powolniej ale bezpieczniej. Przymierze to jest dla niej zabezpieczeniem przed niebezpieczeństwem tych koalicyi europejskich, które dwukrotnie zachwiały potęgę Francyi — za Ludwika XIV i za Napoleona — a zarazem jest zabezpieczeniem wzajemnem trzech mocarstw samowładnych przeciw duchowi rewolucyi. Dlatego to na widok ustępstw, jakie w marcu poczyniły ludom rządy Austryi i Prus, cesarz Mikołaj wydał ów groźny krzyk, który obudził wnet reakcyę w Prusach. Lecz cesarz nie przestał na tej groźbie. Już od wybuchu rewolucyi lutowej w Paryżu zaczął się przygotowywać do wojny i dziś jest zupełnie gotowym, gdy tymczasem ruch ogólny ludów europejskich, który mu zagrażał, jest, z wyjątkiem Węgier, wszędzie sparaliżowany. W Węgrzech rozstrzyga się ostatecznie sprawa między ludami a monarchami i jeżeli rząd austryacki sam Węgrom nie podoła, to cesarz Mikołaj nie byłby czem

jest — to jest typem wszechwładnego cesarza, godnym następcą Iwanów i Piotra, gdyby nie przyszedł mu z pomocą, czy go będzie o to prosić, czy nie, a prawdopodobnie rząd austryacki w złym razie nie zawaha się uciec pod jego opiekę.

— Och, wtenczas — rzekł Kossuth—niewątpliwie odwołamy się do Polaków prawem odwetu.

— Będzie to za późno—odpowiedziałem.—Polacy nie mają gotowego wojska, a co gorsza Węgrzy mają go tylko garstkę; ta garstka może oswobodzić Wiedeń, nie przeczę temu, jeżeli Wiedeńczycy mają dosyć siły, ażeby z nią skutecznie współdziałać...

— Mają najmniej stopięćdziesiąt tysięcy gwardyi narodowej uruchomionej — odezwał się dr Tausenau.

— Ale oswobodzenie Wiednia — mówiłem dalej—nie rozstrzygnie sprawy węgierskiej. Rząd austryacki jest dobrze obwarowany w Kromieryżu i prócz armii Windischgrätza ma jeszcze armię Radeckiego we Włoszech. Będzie więc miał do wyboru, albo ściągnąć tę drugą armię, poświęcając czasowo Włochy, albo wezwać Rosyę na pomoc; w każdym razie Węgrzy, rzucając rękawicę Rakuskiemu domowi, powinny być przygotowane na długą, uporną, niebezpieczną walkę, a mogąż w obecnych warunkach wystawić potrzebną po temu siłę? Cóż znaczy, że mają ludność, liczną, waleczną, patryotyczną, kiedy nie mają ani broni dla niej, ani oficerów dla wytworzenia z niej porządnej armii, kiedy nawet wszystkie zakłady wojenne pozostawione są dotąd pod zawiadywaniem Niemców, w braku uzdol-

nionych od tego krajowców, a Niemcy ci widocznie zdradzają położone w nich zaufanie.

Te uwagi moje, do których podał mi temat szlachcic węgierski, znany już czytelnikowi, poruszyły snać drażliwą strunę u Kossutha, bo twarz jego się zachmurzyła i rzucił na mnie zimne, urażone wejrzenie.

— Wszakże pozwoliłeś mi panie prezydencie— rzekłem w odpowiedzi na to wejrzenie — mówić do siebie otwarcie?

— Mów pan dalej, mów—odpowiedział,

Ciągnąłem więc dalej rzecz moją:—Jeżeli wtrąciłem się do szczegółów sytuacyi militarnej Węgier— mówiłem to dlatego, że właśnie sytuacya ta przemawia bardzo silnie za połączeniem solidarnem sprawy węgierskiej ze sprawą polską, które mogą wzajemnie się podpierać i złączonemi siłami obu narodów otrzymać zwycięztwo jedna i druga, a rozdzielone i zostawione każda samej sobie, prawdopodobnie upadną obydwie.

Pierwsza pomoc, jaką Polska udzielić może Węgrom, jest dać im tyle oficerów, ile ich potrzebować będą—zacząwszy od poruczników, aż do generałów. Generałowie i w znaczniejszej części wyżsi oficerowie nasi odbyli nietylko kampanię w 1831 roku, ale i wojny Napoleońskie; młodsi zaś powychodzili z różnych szkół wojskowych, które istniały w Polsce za czasów konstytucyjnych, a w bitwach 1831 r., okazali się godnymi swoich starszych towarzyszów broni. Jedni zaś i drudzy są w większej części na wygnaniu.

Kiedym to mówił, chmura na czole Kossutha

rozpraszała się stopniowo i oczy jego zajaśniały na nowo wyrazem serdecznej uprzejmości. — O! na generałach i wogóle na oficerach polskich—rzekł przerywając mi—polegałbym z nieograniczoną ufnością, ale jesteś-że pan pewnym, że oni zechcą w znacznej liczbie wejść do służby węgierskiej? Między nimi są różne partye, a ci, którzy się kupią około księcia Czartoryskiego, zdają się więcej pokładać nadziei w dyplomacyi, niż w jakiemkolwiek zbrojnem działaniu.

— Wszakżeż i sam książę Czartoryski — odparłem—pojechał do Poznania wraz ze swoimi najbliższymi przyjaciółmi, jak tylko się rozpoczął ruch narodowy w tej części Polski. Wszystkie bowiem stronnictwa emigracyi polskiej w jedno się łączą wobec chorągwi polskiej, gdy się ona gdziekolwiek pokaże i możesz pan być przekonanym, że oficerowie polscy i wyżsi i niżsi, którzy tylko mają jeszcze siły, pośpieszą do Węgier, ażeby służyć węgierskiej sprawie, jeżeli będą mieli rękojmię, że Węgrzy poprą nawzajem wszystkiemi siłami swojemi sprawę polską. Jako prości zaś najemnicy nie przyjdą oni — lub najwięcej przyjdzie ich kilku, i takich właśnie, na których najmniej polegać można, bo emigracya polska, jak każde ciało zbiorowe, ma swojego ducha i swój punkt honoru, który się na tem zasadza, ażeby służyć tylko sprawie ojczystej, a nie plamić jej w oczach świata, służąc obcym sprawom, jako najemnicy.

Kossuth zamyślił się i powiedział po chwili:

— Stawiasz mnie pan w trudnej alternatywie.

— Mojem zdaniem — odrzekłem — nie ma tu

żadnej alternatywy, sprawa węgierska jest sama przez się ściśle złączona ze sprawą polską z podwójnego względu. Raz, że Węgry pomyśleć nawet o tem nie mogą, aby się dla nich otworzyła jakaś przyszłość bez Polski niepodległej, któraby im służyła za przedmurze od Rosyi — Kossuth dał głową znak potakujący. — Drugi raz, że i dziś już Węgry przygotowane być powinny spotkać za Austryą Rosyę, jak to starałem się dowieść. Czyż więc nie lepiej im iść śmiało naprzeciw niebezpieczeństwu, niż dać się przez nie zaskoczyć niespodzianie, to jest, przyjąć współudział Polaków i mieć w odwodzie — zamiast ją odpychać—tę wielką siłę, jaką znaleźć mogą, ku pomocy sobie, w Polsce w razie najścia wojsk rosyjskich.

Mając polskich oficerów, polskie legiony i powstanie w Polsce w perspektywie, mogą Węgrzy wystąpić do walki z Austryą i Rosyą z nadzieją zwycięztwa—Europa będzie za nimi. Bez Polaków nie dadzą rady samej nawet Austryi, skoro nie mają pomiędzy sobą oficerów do uorganizowania porządnej armii.

Kossuth i dr. Tausenau spojrzeli po sobie.

— Kwestya to jest arcy-ważna — odezwał się demokrata wiedeński—i może najwłaściwiej byłoby traktować ją dopiero po rezultacie wyprawy pod Wiedeń.

— Przedewszystkiem — rzekł Kossuth—należy ją dokładnie sformułować. O cóż chodzi? Panowie proponujecie uformowanie legionów polskich w Węgrzech — nie wchodzę na teraz w szczegóły tego projektu — i warujecie, ażeby legiony r-

były rozpuszczone, dopóki los Polski nie rozstrzygnie się raz jeszcze na polu bitwy — wszakże takie jest wasze żądanie?

— Tak jest—odpowiedziałem.

— Na korzyść naszą w tym układzie— mówił dalej Kossuth — dodajesz pan zapewnienie, że na wezwanie nasze przybędzie znaczna liczba oficerów polskich, wyższych i niższych rang służyć węgierskiej sprawie.

— Mam to przekonanie — odrzekłem.

— Czy podejmujesz się pan jechać w takiej misyi do Francyi?—spytał Kossuth.

— Z największą chęcią—odpowiedziałem.

— A więc co do mnie, prywatnie—rzekł Kossuth, podając nam rękę—przyjmuję propozycyę panów w zasadzie, ale, jako naczelnik komitetu obrony, potrzebuję być do takowego przyjęcia upoważnionym, choćby w sposób ogólny przez sejm, a zatem rzecz nie może być zupełnie zakończona, aż za powrotem moim do Pesztu. Jeżeli panowie nie macie innych jakich interesów w naszej stolicy, towarzyszcie mi aż do końca wyprawy pod Wiedeń; wrócimy razem do Pesztu.

Skłoniliśmy się jaknajgrzeczniej, ja i mój kolega, na to uprzejme zaproszenie. Dołożyłem potrzebny komplement i rozmowa weszła na drogę poufalszą. Kossuth, przybierając ton serdecznej szczerości, który go czynił niezmiernie ujmującym, powiedział nam, że jest tyle prawie Polakiem ile Węgrem.

— Byłem jeszcze młodym — mówił — nie miałem spełna lat trzydziestu i zaczynałem zawód adwo-

kacki, gdy wybuchła wasza rewolucya. Aż do tego czasu żyłem bez wiary w postęp historyczny, bez nadziei w lepszą przyszłość dla ludów; przekonany, że chyba cud jaki sprowadzi tryumf sprawiedliwości na ziemi. Kto żył w państwie Austryackiem pod Metternichowskim systemem, łatwo ten pesymizm pojmie. System ten, który zresztą był tylko wydoskonaleniem dawniejszych systemów, przetwarzał zwolna liczny ów zbiór różnorodnych plemion, zostających pod berłem Habsburgów, w jedną ogromną masę czterdziestu milionów idyotów, i zdawało się, że nie ma sposobu temu przeszkodzić, tak przewrotnie obmyślone były wszystkie środki rządowe. W niemieckich prowincyach rząd popierał przynajmniej rolnictwo, przemysł i handel, ale w Węgrzech, tak jak w waszej polskiej Galicyi, nie dopuszczał żadnych materyalnych nawet ulepszeń. Poczciwy Seczeni (Szecseni), jedyny w owym czasie patryota węgierski, zużył życie i poświęcił znaczną część swojego wielkiego majątku, ażeby podnieść trochę bogactwo krajowe, a we wszystkiem rząd stawiał mu uporne przeszkody... I tak nigdy nie uzyskał on pozwolenia na zbudowanie dróg bitych. A jednak magnaci nasi i większa część szlachty, już zniemczeni, popierali ten rząd dlatego, że ich średniowieczne przywileje podtrzymywał; prosty lud zaś ślepo w niego wierzył. Jakżeż tu było marzyć o niepodległości Węgier? Nikt też u nas o tem nie marzył. Inaczej się działo u was. Wy, Polacy, nie przestaliście nigdy myśleć o odzyskaniu waszej ojczyzny i wasze powstanie listopadowe przypominało starej Europie heroiczn-

czasy. Od 29 listopada z każdym dniem rosło podziwienie i współczucie ludów dla was. Dla mnie sprawa wasza stała się jakby moją sprawą ojczystą, gdyż wasz heroizm obudził nareszcie węgierskiego ducha. Rozniecić tę iskrę stało się przedmiotem mojej ambicyi, celem mojego życia i zacząłem tę pracę w 1832 r., kiedym założył dziennik litografowany pod tytułem *Sejm,* który zdawał sprawę ze wszystkich obrad sejmowych; czego rząd nie dozwalał. Rozsyłałem ten dziennik po wszystkich komitatach i mogę powiedzieć, żem stworzył pierwszą opozycyę sejmową. Odpokutowałem to dwuletniem więzieniem, lecz z więzienia wyszedłem silniejszym, niż byłem i stworzyłem demokratyczne stronnictwo za pomocą *Peszteńskiej Gazety,* której przez kilka lat byłem głównym redaktorem. Stronnictwo demokratyczne wysłało mnie do Izby, następnie wyniosło do władzy i z jego współudziałem mogłem zdemokratyzować Węgry, a teraz mamy i nasze powstanie listopadowe... oby się lepiej powiodło, niż wasze! Widzicie panowie, że cała karyera moja zaczyna się od 29 listopada 1831 r., i że mogę się uważać za syna waszej rewolucyi.

Tu Kossuth zwrócił się do historyi naszej walki, roztrząsał z nami, to jest ze mną i dr. Tausenau, główne jej wypadki, następnie wypytywał się o naszych generałów, o emigracyę, jej koleje, jej byt dzisiejszy, a mówił z tak przyjaznem, tak serdecznem a przytem nieco poetycznem uczuciem, że ta pierwsza parogodzinna z nim rozmowa była dla mnie prawdziwą rozkoszą.

Przytoczę kilka słów jego, ażeby pokazać,

w jakiem świetle widział naszych wojaków z 1831 roku.

— Walka wasza — powiedział mi — zostawiła na umyśle moim takie wrażenie, iż w każdym wojskowym polskim widzę postać epopejową prawdziwego rycerza i nie przypuszczam, aby na nim mogła być jakaśkolwiek zmaza, bo rycerstwo jest waszym duchem narodowym. Na nieszczęście brak wam było w r. 1831 takiego wodza, jakich miewaliście w świetnej epoce waszej historyi. Ten byłby nieprzyjaciela za Dniepr przepędził po zwycięztwie pod Dębem Wielkim. Bodajby się znalazł teraz taki, czy to między wami, czy między nami, a Węgry i Polska będą wolne i niepodległe.

Uważałem w ciągu rozmowy, że Kossuth kilkakrotnie wypytywał się ciekawie o Mierosławskiego i spostrzegłem, że wyobraźnia jego, dosyć skłonna do szlachetnych złudzeń, trzymała w odwodzie tego przywódcę niedoszłego powstania w 1846 r., jako przypuszczalnego wodza, zdolnego stanąć na wysokości polsko-węgierskiego zadania.

Rozmowę naszą przerwały krzyki *Elien* z nad brzegu Dunaju i strzały z armaty wiwatówki na naszym statku, a szum wypuszczonej pary z maszyny, oznajmił nam, że dobijamy do lądu. Kossuth się zerwał.

— To Weitzen (Wacow) — rzekł.—Tu czekają na mnie honwedy z całej okolicy; muszę największą część ich pociągnąć za sobą pod Wiedeń, co mi zajmie parę godzin. Panowie—dodał, obracając się do nas trzech—obejrzyjcie miasto, a potem możecie

wrócić na statek; macie tu książki, dzienniki, karty, warcaby dla rozrywki.

Wysiadł na brzeg, poszliśmy za nim, przypatrywaliśmy się jakiś czas widowisku licznie zebranych honwedów, do których Kossuth przemawiał i którzy go słuchali z rosnącym entuzyazmem; potem obejrzeliśmy wspaniałą katedrę Wacowską, jedyną budowę godną widzenia w tem mieście, którego słowiańska nazwa świadczyła nam, że jesteśmy w kraju Słowaków... i wróciliśmy na statek.

Dr. Tausenau opowiadał nam wypadki wiedeńskie, sławiąc je na ton liryczny. — Dowiedzieliśmy się od niego, że na wieść o zbliżaniu się Windischgrätza wysłany on został do Kossutha o pomoc, że Kossuth długo się ociągał, nie chcąc, jak mówił, zejść z drogi legalnej; że żądał, aby go wezwał urzędownie sejm w Kromieryżu, który ze swojej strony nie chciał wejść na drogę rewolucyjną; że przed kilku dniami dopiero na ponowne i rozpaczne wezwanie Wiedeńczyków a przytem na usilne jego, Tausenaua, namowy, zdecydował się nakoniec przejść Rubikon. Demokrata wiedeński utrzymywał, że przez ten śmiały krok Kossuth wprowadził sprawę demokratyczną nietylko w państwie Austryackiem, ale w całych Niemczech, w całej nawet Europie, na nowe tory.

— Dotąd — mówił on—każdy lud tylko o sobie myślał, Węgrzy mianowicie, stali na bezczelnie samolubnem stanowisku, usiłując wyzyskać na swoją wyłączną korzyść wszystkie te pojedyńcze wybuchy ludów państwa Austryackiego, które wielkich kłopotów nabawiają dynastyę panującą, ale nie są

w stanie rozprządz monarchii. Owóż wobec tych zawikłań Madziary do tego tylko dążyli, ażeby uzyskać dla siebie samorząd, a następnie ściągnąć dwór do Pesztu i zrobić z Węgier środek ciężkości państwa Habsburgów. Nie udało się to i Kossuth spostrzegał coraz jawniej, że dom rakuzki, pobiwszy Włochów, poskromiwszy Czechów, jeżeli teraz jeszcze przytłumi rewolucyę wiedeńską, to z całą siłą swoją obróci się na Węgrów. Moc okoliczności nakłoniła go więc przyjść w pomoc Wiedniowi i wprowadzić tym sposobem w czyn wielką zasadę solidarności ludów, w której, jedynie, jest zbawienie dla Węgrów, dla Niemców i dla was Polaków— chodzi o to tylko, czy nie zapóźno wziął to postanowienie. Podróż nasza zajmie dni kilka, bo Kossuth ma wstępować do wszystkich znaczniejszych miast po drodze, ażeby pociągać za sobą honwedów; w samym Granie mamy zabawić dwa lub trzy dni; z Presburga będziemy ciągnąć lądem pod Wiedeń razem z honwedami a jest ze dwa etapy na tej drodze — zgoła nie będziemy pod Wiedniem jak za sześć lub siedem dni a tymczasem kto wie, czy Windischgrätz nie zmusi głodem naszej bohaterskiej stolicy do kapitulacyi?

— Miejmy nadzieję, że tak nie będzie — odezwałem się.

— Nie tracę też jeszcze nadziei—odpowiedział Tausenau — i owszem, oczekuję tej pięknej chwili, gdy Węgrzy w Schwechat pod Wiedniem zapalą jaką stodołę podług umowy, ażeby dać znać Wiedeńczykom, że już przybyli, a Wiedeńczycy odpowiedzą im racą z wieży świętego Stefana.

Na tej rozmowie upłynęło parę godzin. Kossuth wrócił na statek; dwa czy trzy inne statki parowe przypłynęły były za nami, podczas gdyśmy stali pod Wacowem; honwedzi wsiedli na nie i popłynęliśmy dalej razem wśród okrzyków z brzegu i ze statków. Wkrótce dano obiad, przy końcu którego znalazłem się w niemałym kłopocie.

Doktór Tausenau wniósł toast na cześć Kossutha i przy tej okoliczności wypalił mowę kwiecisto-demokratyczną, którą zakończył wyszukanym frazesem, że jeżeli Kossuth uosabia w sobie jednym cały rząd węgierski, to dlatego, ażeby nie było dwóch słońc na węgierskiem niebie.

Kossuth odpowiedział mu i miałem sposobność ocenić po raz pierwszy urok jego słowa. Była to wymowa, daleka od wszelkiej napuszystości, bez klasycznych peryodów; płynęła naturalnie, gładko, potoczyście, i, to podnosiła się do efektów dramatycznych, to spadała na ton poufały, czasem żartobliwy, a słuchacze przechodzili z entuzyazmu do szczerego śmiechu. Przy końcu mowy, niespodzianie obracając się ku nam, rzekł:

— Panowie, mamy między sobą dwóch reprezentantów bohaterskiego narodu polskiego.

Tu wyliczył tytuły, jakie Polska ma do współczucia świata całego i do przyjaźni poszczególnej Węgrów, a zakończył toastem następującym:

— Pijmy na cześć naszych odwiecznych sprzymierzeńców Polaków. Obyśmy ich jaknajprędzej widzieli wolnymi, złączonymi w jeden potężny naród, jakim byli przed podziałem, a niech pomną na przyjaźń skojarzoną niegdyś między Polską a Wę-

grami, gdy oba narody miały na tronach swoich książąt z rodu Jagiellonów.

Wszyscy z entuzyazmem wychylili ten toast. Ja zaś czułem się przytłoczony ciężarem wdzięczności. Otóż to bieda na mnie, mówiłem sobie w duchu, trzeba na to piękne przemówienie odpowiedzieć. W jakimże języku? Po niemiecku nie potrafię, po francusku nie zrozumieją i pytanie, czy zdołam choć słówko jedno bez zająknienia powiedzieć, bo jeszcze nigdy publicznie nie mówiłem. Na szczęście przypomniałem sobie, że znam jeden wyraz węgierski, jeden tylko, ale elektryczny i że ten może mnie wyratować, powstałem więc i wystąpiłem śmiało z oracyą francuską, bardzo krótką, to prawda, ale zakończyłem ją owym szczęśliwym wyrazem, to jest okrzykiem: *Elien a Kossuth! Elien a Magiar*! i zyskałem powszechne oklaski, jak gdybym powiedział mowę w Cycerońskim stylu.

Wieczorem przybyliśmy do Granu, gdzieśmy wszyscy na ląd wysiedli. Kossuth stanął we wspaniałym pałacu arcybiskupa, który jest Prymasem Węgier i używa, jak niegdyś Prymas Polski, książęcego tytułu, ale który natenczas wyjechał był umyślnie, aby nie przyjmować niemiłego katolickiemu duchowieństwu gościa w swojej arcybiskupiej stolicy.

Nam dwom wyznaczono mieszkanie u wikaryusza generalnego. Miał on osobny pałac a raczej okazałą kamienicę, w której mieszkał wraz z nim drugi wikaryusz i dwóch czy trzech innych księży. Był to staruszek z białą zupełnie głową — bardzo poważny w swojem obejściu — przyjął nas uprzejmie i podejmował przez te parę dni, które

przepędziliśmy w Granie, nietylko gościnnie, ale nawet wykwintnie; wprawdzie nie było w tem nic nadzwyczajnego, bo dom jego urządzony był na stopę prawie pańską.

Pomimo całej uprzejmości swojej, nie zataił nam poczciwy staruszek swojego zdziwienia, że nas Polaków i katolików widzi w otoczeniu Kossutha kalwina; starałem się wytłumaczyć mu, że nasza misya nie ma nic wspólnego z religią, że jest czysto polityczną, ale cała wymowa moja nie trafiła do przekonania tych poczciwych księży.

Byliśmy jak dwaj obwinieni przed sądem, na szczęście przed sądem nader uprzejmym, a sumienie nasze nic nam nie wyrzucało.

Czas upłynął nam w Granie bez znudzenia, oglądaliśmy katedrę, zbudowaną na wzór bazyliki św. Piotra w Rzymie w znacznie mniejszych, ma się rozumieć, rozmiarach, ale jeszcze kolosalnych. Grubość murów w podziemiach i średnica kolumn portyku są niemal takie, jak w Paryskim Pantheonie. Wspaniała ta świątynia nie była jeszcze w owej epoce zupełnie wewnątrz ukończona. Przypatrywaliśmy się także codziennie przeglądom honwedów i zadziwiającym skutkom wymowy Kossutha, która tych spokojnych dotąd ludzi poruszała elektrycznie i zmieniała nagle w wojowników. Po każdem przemówieniu jego kompanje i bataliony całe, z małym wyjątkiem, ofiarowały się iść bezwłocznie do walki.

Zbywające chwile spędzaliśmy na przechadzkach. Gran przedstawia się nader malowniczo; wznosi się na piętrzących się wzgórzach; na najwyższem z nich króluje katedra, której kopułę widać o parę

mil dokoła. Miasto otoczone jest ogrodami, winnicami i zielonemi naddunajskiemi łąkami. Gdyśmy wrócili z Kossuthem do statku, żeby w dalszą puścić się drogę, zastaliśmy całą flotyllę paropływów, tworzącą orszak naszemu statkowi. Jedne z nich były też same, które szły za nami od Wacowa i, odwiózłszy będących na nich honwedów na przeznaczone miejsce, wróciły do Granu, inne były świeżo przybyłe z Pesztu; jedne i drugie zapełnili honwedzi z Granu i popłynęliśmy wszyscy razem przy zwykłych okrzykach, po których rozpoczęły się na towarzyszących nam statkach śpiewy narodowe, które to ustawały, to znów się rozlegały za nami przez resztę drogi naszej na Dunaju.

Płynęliśmy przez dwa dni, Kossuth wstępował do różnych miejscowości; w ważniejszych, jak w Komornie i innem miejscu, nie pamiętam już jakiem, nocowaliśmy, Kossuth w mieście, my dwaj zaś, dr. Tausenau i parę osób z otoczenia Kossutha na statku. W tej drugiej części podróży naszej, miałem jeszcze długie pogadanki z Kossuthem. Głównym ich przedmiotem była misya, jaką mi chciał dać do Francyi, a która się stopniowo rozwijała w jego myśli. Chodziło mu najprzód o to, żebym mu sprowadził oficerów polskich, jak to już nadmieniłem wyżej i w tym względzie mówił mi, że trzeba mi będzie znosić się z posłem węgierskim w Paryżu, hrabią Wł. Telekim, w którym zupełne pokładał zaufanie i który miał w ręku znaczne fundusze węgierskie. Wymieniłem mu jednak niektórych generałów i wyższych oficerów, którzy zdaniem ogólnem najwięcej okazali talentu w kampa-

nii 1831 r., a na czele ich stawiałem generała Prądzyńskiego.

— Myślałem ja już o nim — powiedział mi na to—ale dowiedziałem się, że on bardzo chory w Krakowie i nie ma nadziei, ażeby się mógł wydźwignąć.

O innych generałach naszych nie miał wyrobionej opinii, ale myśl jego krążyła około jednej osobistości, która przed niedawnym czasem wzbudziła była wiele zawodnych nadziei, to jest około Mierosławskiego.

— Nie ujmuję--mówił on — talentom i charakterom już doświadczonym, ale do okoliczności nowych trzeba ludzi nowych. Dla Mierosławskiego wojna wasza 1831 roku była tylko szkołą, z której skorzystał, jak się to dobrze pokazuje z jego dzieł. W roku 1846 wystąpił samodzielnie i śmiało, zbyt śmiało może, ale droga, jaką obrał, była jedyna, na której Polskę zbawić można, to jest droga demokratyczna. Wszakże to do was kiedyś powiedział Napoleon: „że czego chcą miliony ludzi i chcą szczerze i statecznie, to w końcu stać się musi". Chodzi o to, żeby te miliony ludzi poruszyć, jedną myślą ożywić i do walki wyprowadzić. Tego chciał Mierosławski w r. 1846. Czy środki jego były dobrze obmyślone, to trudno osądzić; został schwytany przez Prusaków, gdy zaledwie wziął się do dzieła, jednak już się masy ruszały, a obrona jego przed sądem była dla niego prawdziwym tryumfem moralnym.

— Widzę—rzekłem z uśmiechem—że pan prezydent radbyś go widzieć na Węgrzech.

— Nie taję się z tem—odpowiedział Kossuth— nie powierzyłbym mu wprawdzie odrazu żadnego dowództwa, wypróbowałbym go najprzód w sztabie głównym; dałbym mu rangę pułkownika z głosem doradczym na radach wojennych, i jeżeli, jak sądzę, przyniósłby na te rady myśl młodą, pełną życia i siły, to zostałby szefem sztabu, a byłoby to szczęśliwem zdarzeniem, gdyby taką myśl młodą można skojarzyć z doświadczeniem praktycznem starego generała.

Nie miałem nigdy tak wysokiego wyobrażenia o Mierosławskim, ale kiedym się z nim rozstawał w korpusie kadetów kaliskich, on miał lat 18, ja nie miałem jak 15-cie i trudno mi było na wspomnieniach z owego czasu opierać sąd o człowieku który z młodzieńca stał się człowiekiem dojrzałym i mógł się był wyrobić. Wolałem też milczeć. Kossuth mówił mi następnie o innem jeszcze poleceniu, które miał mi dać do Francyi. Rząd węgierski zamówił był znaczną ilość broni w Anglii i we Francyi, a hr. Teleki opatrzony był w fundusze, potrzebne na zapłacenie i odstawienie jej, lecz zachodziło pytanie jaką drogą broń tę sprowadzić do Węgier, o tem zaś Kossuth zadecydować nie mógł, póki los wyprawy jego pod Wiedeń nie był rozstrzygnięty. Powiedział mi tylko nawiasem, że jeżeli broń tę wypadnie sprowadzić morzem, co było najpodobniejszem, to możnaby na tymże statku wyprawić ochotników z młodej emigracyi we Francyi, którzyby się ofiarowali wstąpić do polskich legionów.

Mówiliśmy także i o ogólnej sytuacyi Europy,

a chcąc mile pogłaskać miłość własną Kossutha, wysunąłem się ze zdaniem, że jeżeli on, jak spodziewam się, zajmie Wiedeń a za sobą w Węgrzech zostawi organizującą się dwukroćstotysięczną armię, to zapanuje nad ogólną sytuacyą i będzie mógł nietylko Węgrom otworzyć wielką przyszłość, ale dać syntezę wszystkim tym bezładnym aspiracyom i ruchom ludów europejskich, których początkiem była rewolucya Lutowa we Francyi.

Tak, być to może — odpowiedział Kossuth zamyślony, a oczy jego błyszczały płomieniem entuzyazmu.—Snać trafiłem w jego marzenie, które było także, przyznaję, po części i mojem. W owej epoce wierzono w logikę wypadków, w wielkie syntezy dziejowe, w ciągły postęp ludzkości na wszystkich drogach. To filozoficzne *credo*, do którego najpobożniejszy chrześcianin mógł się przyznać, było szczególniej pocieszającem dla Polaków bo im ukazywało w perspektywie odrodzenie ojczyzny, jako niechybny wynik logiki dziejowej. Dlatego też wszystkie wypadki ważniejsze, które się przed oczami naszemi wytaczały, przybierały dla nas znaczenie nierównie donioślejsze, niżeli je miały w istocie. W roku 1849 mianowicie, myśleliśmy, że już się wali budowa kongresu wiedeńskiego, a na jej miejsce powstanie porządek inny, oparty na prawach narodowości—na solidarności ludów — na sprawiedliwości w jej najwyższem znaczeniu. Smutne doświadczenia lat następnych bardzo osłabiły tę piękną wiarę i sprowadziły na jej miejsce ohydny materyalizm—samolubstwo narodów i cześć siły brutalskiej. Przejdzie i ta faza — nowe pokolenie przekona się,

że postęp jest niewątpliwie prawem ludzkości, tylko nie trzeba go mierzyć podług drobnej skali ludzkiego żywota, które jest jedną chwilką na zegarze dziejowym: trzeba o ile to podobna, wznieść się na stanowisko bezwzględne i wiekuiste, z którego Opatrzność Najwyższa baczy na pochód rodu ludzkiego, a wtenczas zrozumiemy historyę... ale wróćmy do wypadków wyprawy węgierskiej.

Trzeciego dnia po wyjeździe naszym z Granu, wylądowaliśmy rankiem w pobliżu Presburga, ale na przeciwnym brzegu. Zastaliśmy tam obóz honwedów. Byli to ci, których Kossuth zabrał ze sobą z Wacu i do których przyłączyli się byli inni z Raab. Z nami przybyła z Granu niemała ich liczba, tak, że razem uformowała się siła kilkunastu tysięcy honwedów, a wozów nagromadzonych tam z wiktuałami, winem, drzewem, ze słomą i próżnych była ogromna liczba. Przypomniały mi się dawne tabory naszych husarzy z tą różnicą, że wozy husaryi naszej związywano razem i robiono z nich szańce ruchome dla osłonienia obozów, gdy tymczasem wozy węgierskie sprawiały tylko ogromny nieład w obozie, w marszach i na polu bitwy, jak się to pokazało niebawem.

W tym dalszym ciągu drogi do Schwechat jechaliśmy my dwaj Polacy wpośród honwedów na wózku węgierskim bardzo porządnym i dosyć wygodnym, a marsz wojska był dosyć podobny do przyjemnej przechadzki. Po ujściu pierwszej milki, wojacy nasi zatrzymali się w pięknym lasku, odszpontowali beczki z winem i posilili się sowicie tym narodowym napojem. Po drugiej milce obiadowaliśmy

i spoczywaliśmy parę godzin. Milkę dalej jeszcze stanęliśmy na nocleg. Było to w Parendorfie wiosce austryackiej na pograniczu węgierskiem. Nazajutrz dopiero, 31 października, przybyliśmy o zmroku do Schwechat, gdzieśmy się połączyli z główną armią węgierską, stojącą już od miesiąca na obserwacyi w okolicy między wioskami Parendorf, Elen i Schwechat. Cała ta armia stanowiła niewielką kupkę, obozującą na pochyłościach jednego pagórka i wątpię, ażeby wynosiła więcej nad 20,000 ludzi. Kossuth sprowadził był kilkanaście tysięcy honwedów, razem więc było w Schwechat trzydzieści kilka tysięcy wojska węgierskiego. Windischgrätz miał pod swojem dowództwem więcej, niż dwa razy tyle żołnierzy, lecz pomimo tej nierówności sił, Węgrzy gdyby byli przyszli w porę, działając wspólnie z Wiedeńczykami mogli go byli zmusić do odstąpienia od oblężenia. Na nieszczęście w przeddzień przybycia Węgrów, Wiedeń już był wzięty, o czem Kossuth ani się domyślał. Wieczorem według umowy z Wiedeńczykami, Węgrzy zapalili jakąś pustą budowlę i czekali, w odpowiedzi, na race, które oblężeni mieli wypuścić z wieży świętego Szczepana, ale daremnie zwracali oczy ku tej wieży, którą dobrze widać z Schwechat — nic się nie pokazywało. Nie rozpaczali jednak, sądząc że Wiedeńczycy zaniedbali postawić kogo na straży na wieży i nie wiedzieli o danym im znaku.

W takiem to przypuszczeniu zdecydowali się wydać nazajutrz bitwę wojsku austryackiemu.

Ja i mój kolega, zawieruszeni w tę wyprawę, byliśmy w położeniu dosyć kłopotliwem, nie mieliśmy

koni, ażeby asystować Kossuthowi, uzbrojeniśmy byli tylko w laseczki, nie wiedzieliśmy więc co z naszemi osobami zrobić, ale gdyśmy się zabierali do spoczynku w ubogiej kwaterze, jaką nam wyznaczono, przyszedł do nas adjutant Kossutha, hrabia Leiningen i powiedział nam, że Kossuth radzi nam, abyśmy pojechali do Presburga i tam czekali na wynik bitwy; dodał przytem, że jest podwoda na nasze rozkazy. Bardzośmy wdzięczni byli Kossuthowi, że pamiętał o nas i, nie zwlekając, siedliśmy na podwodę i pojechaliśmy do Presburga. Czekaliśmy tam niecierpliwie wiadomości z pola bitwy. Trzeciego dnia powiadają nam w hotelu, że mnóstwo honwedów snuje się po mieście i że, podobno, rzeczy zły obrót wzięły pod Schwechatem. Wyszliśmy, ażeby zasięgnąć pewniejszych wiadomości, i spotykamy demokratę wiedeńskiego dr. Tausenau, który spostrzegłszy nas, przybiegł przywitać się z nami z wielkiemi objawami przyjaźni. Był on w całej tej sprawie przy boku Kossutha w nadziei, że z nim tryumfalnie wejdzie do Wiednia i będzie miał sposobność wypalić mowę, której rozgłos rozejdzie się po świecie całym.

Opowiedział on nam wszystkie szczegóły tego pierwszego niefortunnego spotkania się Węgrów z Austryakami. 1-go grudnia o świcie wojsko węgierskie stanęło w szyku bojowym. Naprzeciw niemu wystąpił Jelaczyc z Kroatami i częścią armii Windischgrätza; rozpoczął kanonadę, ale kule nie dochodziły do linii węgierskich; wśród tej kanonady, przybiega Görgöj do Kossutha i oskarża generała Mogę, głównodowodzącego, że zdradza, że źle armi-

ustawił, że sam ze sztabem w dolinę się schował, zkąd widzieć nawet nie może co się dzieje na linii bojowej, nakoniec, że armia żadnych obrotów dobrze wykonać nie jest w stanie, bo wozy plątają się między kolumnami i zawadzają im.

Kossuth uwierzył oskarżeniom Görgöj'a i bardzo się zafrasował. Wysłał swoich adjutantów, żeby wozy w tył usunęli; ci, zamiast dotrzeć do wozów, krzyczeli zdaleka: *Die Wagen retiriren*; artytylerya i huzary, usłyszawszy słowo *retiriren* najdobitniej wymówione, myśleli, że to jest rozkaz ogólnego odwrotu i zaczęli się cofać nagle, co widząc inne pułki, zabrały się także do odwrotu. Wkrótce ten odwrót zmienił się w popłoch, w ucieczkę ogólną, którą Kossuth nadaremnie chciał wstrzymać; przybiegł do huzarów, błagał, zaklinał, żeby się wrócili na miejsce, ale popęd był dany, panika ogarnęła całe wojsko i nie pozostało Kossuthowi jak konia zwrócić i uciekać jak wszyscy. O sobie mówił Tausenau, że dostał się nad brzeg Dunaju i spostrzegłszy łódkę rybacką, najął ją za grube pieniądze i na tej łódce przybył do Presburga.

Taki był koniec wyprawy Węgrów pod Wiedeń, po której tyle obiecywaliśmy sobie wielkich skutków, niestety!

IV.

Przez parę dni byliśmy w wielkiej niespokojności o Kossutha i o los armii węgierskiej. Wybawił nas z niej znowu demokrata wiedeński. 4 listopada wpadł on do nas z doniesieniem, że armia węgierska przecież się znalazła, że jest w Parendorf, gdzie się udało nakoniec Kossuthowi z pomocą niektórych oficerów powstrzymać uciekających i przywrócić jakiśkolwiek ład w tym odmęcie pomieszanych batalionów, ale że zmartwienie, jakie mu ta ucieczka sprawiła i wszystkie trudy z któremi miał do walczenia, oddziałały na jego nie zbyt silną kompleksyę i że wczoraj wieczór przyjechał chory do Presburga.

Wyszedłem natychmiast wywiedzieć się o jego zdrowiu. W mieszkaniu, które zajmował — był to zdaje się jakiś gmach rządowy—była wielka sala, gdzie się gromadzili Węgrzy z jego otoczenia i gdzie można było wejść bez żadnego meldowania. Wszedłem tam. Hr. Leiningen natychmiast zbliżył się do mnie i powtórzył mi prawie toż samo, co

nam już opowiadał Tausenau. Dodał tylko, że Kossuth dziś rankiem oddał generała Mogę pod sąd wojenny (który, mówiąc nawiasem, uznał go niewinnym) a Görgöj'a mianował generałem i tymczasowym dowódcą całej armii. Tę ostatnią nowinę oznajmił mi z widocznem niezadowoleniem, które podzielała cała armia i ogół publiczności. Görgöj w nikim zaufania nie wzbudzał. Przyznawano mu wprawdzie wiadomości wojskowe, jako niegdyś uczniowi akademii wojskowej w Wiener-Neustadt. Nie odmawiano mu i odwagi osobistej, której dał był dowody w krótkiej walce z Kroatami, ale był to człowiek młody, niedoświadczony, w którego minie napuszonej, ruchach i oczach siwych z wejrzeniem zimnem jak połysk stali, malowały się zarozumiałość, pycha i ambicya bez skrupułu. Zresztą od początku kryzysu węgierskiego, który go zastał porucznikiem austryackim, piął się ciągłemi tylko intrygami do coraz wyższej rangi. Już w ciągu kroackiej kampanii dołki kopał pod Perczelem, którego świeżo nabyta sława była mu solą w oku, a odkąd Kossuth objął władzę prawie dyktatorską, słaniał mu się nieustannie, wysuwając się z coraz nowemi projektami i wobec niego tak układał swoją powierzchowność, że się wydawał innym zupełnie człowiekiem, niżeli był rzeczywiście. Był potulnym, miał głos słodziutki i wejrzenie dziecka, które się do ojca swojego z miłością zwraca. Kossuth dał się schwycić na ten lep, tem łatwiej, że podług jego teoryi do okoliczności nowych trzeba ludzi nowych i to był bezwątpienia argument, który w my-
-o przemawiał głównie za Görgöjem, ale na

młodość, zdolność i odwagę jego zakredytował mu zbyt wiele, wynosząc go — niedawno porucznika — na wodza naczelnego armii węgierskiej i zdając tym sposobem los ojczyzny w jego ręce. Tak samo myślał i Leiningen, po chwili milczenia powiedział mi bowiem, że teraz już zapewnie Kossuth żałuje, iż tak pośpiesznie zamianował Görgöja generałem i wodzem.

— Dlaczegoż by tak prędko już miał żałować?—spytałem go.

— Ach! — odrzekł — bo mam jeszcze jedną ważną nowinę panu oznajmić. J. Bem potrafił ujść z Wiednia i przemknął się do Presburga. Był u prezydenta nie ma temu pół godziny i prezydent po rozmowie z nim odżył, jest w weselszym humorze i zdaje się zdrowszym.

— A czy mógłbym go widzieć? — spytałem przerywając mu.

— Bezwątpienia — odpowiedział Leiningen. — Wszakże on pana zawsze mile widzi a pogadacie o Bemie. Radbym wiedzieć, co on z nim zrobi, bo trudno przypuścić, ażeby starego doświadczonego generała oddał pod rozkazy młokosa, który niczem się nie odznaczył, jak Görgöj. To powiedziawszy, poszedł do przybocznego pokoju i wkrótce wrócił z oznajmieniem, że Kossuth prosi mnie do siebie.

Zastałem go w łóżku, pobladłym, z przygasłemi oczami a na twarzy jego widać było zmęczenie i zniechęcenie. Wyciągnął ku mnie rękę białą i kształtną jak u kobiety.

— Ot, widzisz pan—rzekł — od czego zależy

los wypraw wojennych; jeden rozkaz źle zrozumiany i wyprawa zwichnięta; szczęściem, że nas nie gonili, bo cała armia byłaby zgubioną. Co mnie najdotkliwiej ubodło—mówił dalej — to tchórzostwo naszych huzarów dotąd zawsze tak walecznych; przybiegłem do nich, tłomaczyłem omyłkę, zaklinałem, ażeby wrócili na dawne stanowisko i nie plamili sławy głośnej na świecie całym węgierskich huzarów, ale popłoch między nimi był taki, że mnie ani słuchać chcieli. Uciekali wciąż i to przed niczem. Teraz trzeba koniecznie choćby malutkiego jakiego odwetu dla podniesienia ducha w wojsku i w narodzie; inaczej sprawa węgierska zgubiona w sposób haniebny.

Starałem się dodać mu otuchy, ale patrząc na tego człowieka, który, nie mając władzy w ręku, tyle rzeczy śmiałych, tyle zmian radykalnych w swoim kraju dokonał słowem i piórem, a mając władzę chwiał się, nie umiał się poznać na ludziach i po pierwszej cięższej próbie, musiał się kłaść w łóżko, mówiłem sobie: tajemnica jego charakteru jest w jego ustroju nerwowym, raczej kobiecym, niż męzkim. Ztąd ten wdzięk szczególny w jego obejściu, którym wszystkich ku sobie pociąga, ale ztąd także to optymistyczne złudzenie, te poszepty miłości własnej nader drażliwej i te wpływy nerwowe, które w chwilach najważniejszych biorą w nim górę nad zimnym i praktycznym rozumem męża stanu. Kossuth opowiedział mi nagłe zjawienie się Bema przy jego łóżku, co było dla niego najmilszą niespodzianką, jaka nadarzyć mu się mogła. Spytał mnie, czy znam tego generała, a na moją od-

powiedź, że go nigdy nie widziałem, powiedział mi, że właśnie oczekuje jego przybycia i przedstawi mnie jemu.

Z powodu Bema rozpoczęliśmy raz jeszcze mówić o wojnie 1831 roku, o bitwie ostrołęckiej, w której on ocalił armię naszą i o szturmie Warszawy który zmylił jego rachuby. Utrzymywał bowiem na radzie wojennej, że główny atak będzie od strony Królikarni i Mokotowa, zkąd rzeczywiście mogli się łatwo dostać w środek miasta, gdy tymczasem oni całą siłą uderzyli na punkt nierównie dalej wysunięty, na Wolę, ale znaleźli ją słabo bronioną i zdobyli ją w pół godziny. Gdym się zapuszczał w szczegóły tej ostatniej wielkiej walki naszej, której wspomnienie tkwiło natenczas żywo jeszcze w mojej pamięci, jak gdyby się wczoraj dopiero odbyła, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna pięćdziesięcio-kilko-letni, dosyć słusznego wzrostu, średniej tuszy, z twarzą zupełnie wygoloną, bladą, nieco nalaną, rysami bez charakteru męzkiego, oczami zamglonemi, w surducie zapiętym aż pod szyję i halsztuku bez kołnierzyka. Byłbym go wziął za kościelnego sługę w świątecznem ubraniu, gdyby go Kossuth nie był powitał z oznakami wielkiej czci, tytułując go generałem. Był to Bem. Pod tą powierzchownością pedela krył się wojownik z sercem nieustraszonem i duszą nieugiętą, jak żelazo. O Lawaterze! jakże często ludzi mylisz. Kossuth zaprezentował mnie.

— Czy krewny generała — spytał mnie Bem.

— Syn—odpowiedziałem.

— Widzę po wstążce krzyża polskiego, którą nosisz, żeś służył w 1831 r.

— Tak jest.

Na to skłonił mi się lekko głową i obróciwszy się do Kossutha zaczął rozwijać mapę, którą z sobą przywiózł.

Kossuth mnie poprosił, ażebym kazał przywołać Görgöja. Wyszedłem, powiedziałem hr. Leiningenowi, czego żąda Kossuth i wydaliłem się na miasto; ale chcąc pomówić z Bemem, w godzinę potem wróciłem przed dom, gdzie mieszkał Kossuth. Chodziłem jakiś czas tam i napowrót po ulicy, nareszcie u drzwi domu tego spostrzegłem Bema, rozmawiającego z pułkownikiem, późniejszym generałem Bułharynem [1].

Zbliżyłem się do nich i opowiedziałem Bemowi cel naszego pobytu przy Kossucie. Słuchał mnie dosyć zimno, w końcu spytał zkąd weźmiemy oficerów do naszych legionów? Odpowiedziałem mu, że mam jechać do Francyi dla sprowadzenia ich; pan Bułharyn dodał, że przybyłych z Galicyi

---

[1]) P. generał Bułharyn w dziele swojem *Rys wojny węgierskiej w Paryżu 1852 druk Martinetta* wspomina o mnie i o moim koledze w tych słowach: „W Presburgu zastałem nową deputacyę z dwóch członków młodej emigracyi polskiej, to jest z tej, co niedawno kraj opuściła. Było ich do dwóch tysięcy w Galicyi". Więcéj nic nie mówi, ale też raz tylko spotkałem w Węgrzech Bułharyna, który zupełnie obcym był wszelkim układom, tyczącym się formacyi legionów polsko-węgierskich i wszystko, co o tem mówi w swojem dziele, jest bardzo niedokładne.

oficerów polskich jest już dzisiaj znaczna liczba w Peszcie.

Bem głową potrząsnął i rzekł:—Inna to rzecz była formować legiony pod osłoną Francyi, kiedy Francya głosiła po świecie zasady wolności, równości, braterstwa i biła na wszystkich punktach koalicyę mocarstw despotycznych, a inna rzecz formować je w Węgrzech zamkniętych w kółku swoich malutkich, egoistycznych interesów, wrogich wszystkim słowiańskim narodom i które się nigdy nie odważą na walkę z Rosyą.

— Będą do tego zmuszone—odrzekłem.

— Dużo o tem mówić — powiedział — ja nie mam czasu w obecnej chwili tem się zajmować, bo wyjeżdżam pokierować wyprawą na korpusik austryacki Simonicza, lecz za powrotem moim rozważymę tę rzecz bliżej.—To powiedziawszy skłonił się nam i odszedł.

Zostałem kilka chwil z p. Bułharynem, który mnie zapewniał, że Bem jest stanowczo przeciwny legionom polsko-węgierskim i że nie przeciągnę go w tym względzie na naszą stronę.

„— Chce on — mówił Bułharyn — żeby, kiedy już młodzież polska garnie się do Węgier, porozrzucać oddziały polskie po całej armii węgierskiej. Jaką zaś w tem ma myśl i dlaczego tak nieprzychylnym jest projektowi legionów, tego, doprawdy, nie pojmuję i, mocno nad tem ubolewam. Powodem do tego, zdaje mi się, była zbyt absolutnie pojęta i niewłaściwie w tej okoliczności zastosowana polityka ogólna Hotelu Lambert, do której generał eBm był wtajemniczony jako jeden z poufałyc'

przyjaciół księcia Adama Czartoryskiego. Stary książę wiedząc aż nadto dobrze, że sprawa polska uważana była za ostatecznie straconą przez wszystkie gabinety i wszystkich wpływowych mężów stanu w Europie, jedną tylko przewidywał okoliczność, w którejby wystąpić mogła na porządek dzienny dyplomacyi europejskiej, pewnym był mianowicie, że Rosya prędzej czy później sięgnie jeszcze po Konstantynopol, a wtenczas wszystkie inne mocarstwa przekonają się jawnie, że innego sposobu nie ma na powściągnięcie jej nienasyconej ambicyi, jak odbudować Polskę i takiem przedmurzem zasłonić od niej wschód równie jak i resztę Europy. Z taką myślą przewodnią książę Adam Czartoryski obrócił główną działalność na wschód, ażeby Słowian Zadunajskich odciągnąć z pod wpływu Rosyi i uczynić powolnymi swojej polityce.

Niestety, doświadczenie z roku 1855 okazało, że i ta rachuba była złudzeniem, bo wobec najgroźniejszego nawet niebezpieczeństwa ze strony Rosyi trzy naówczas najpotężniejsze w Europie mocarstwa nie czuły się już na siłach odbudować Polski; lecz trudno mieć za złe księciu Czartoryskiemu, że tak nielogicznego rezultatu nie przypuszczał. Agenci jego na wschodzie pracowali bardzo czynnie i zręcznie, i potrafili byli wielki wpływ pozyskać na Serbów i Bulgarów [1]). Prowadzili tę politykę

---

[1]) Br. Załewski — powiada w monografii Orpiszewskiego (Przegląd Polski na miesiąc Wrzesień 1875), że ś. p. księciu Jerzemu Lubomirskiemu jeden z wysoko postawionych mężów stanu w Austryi mówił w roku 1871: „Dowiedzioną jest

jeszcze w 1848 roku, kiedy Czesi podnieśli myśl jedności Słowiańskiej, poczynając od zjednoczenia Słowian w państwie austryackiem. Myśl ta pozyskała sobie szczupłe tylko gronko zwolenników w Galicyi, ale między nimi byli mężowie, którzy najwyżej stali w społeczeństwie, imieniem, bogactwem, ustaloną reputacyą prawości i patryotyzmu jako to: ks. Jerzy Lubomirski, ks. Władysław Sanguszko i hr. Adam Potocki. Zetknąwszy się z tymi panami — usposobiony już przychylnie dla Słowian pod wpływem Hotelu Lambert, lubo między polityką Hotelu Lambert a mrzonkami czeskiemi, którym ci ostatni dali się na chwilę uwieść, był przedział ogromny — Bem wykombinował wraz z nimi plan, który miał pogodzić interesa słowiańskie, węgierskie i polskie. Jaki to był plan, to wyjaśnia list Bema do hr. Z., ogłoszony w *Tygodniu* z 13-go Maja 1877 r. № 36, który tu przytaczam:

Lwów, 29 września 1848 r.

„Węgrzy, z którymi Polska od niepamiętnych czasów w przyjaznych była stosunkach, znajdują się teraz w położeniu bardzo krytycznem. Kroaci tudzież inni Słowianie, którzy od kilku wieków z nimi są połączeni, podburzeni dzisiaj przez Niemców, a nawet przez Rosyan, powstali przeciw nim. Wojna domowa wzmaga się groźnie. My tylko, Polacy,

---

rzeczą, że ze wszystkich państw europejskich jedno tylko zrobiło coś dla cywilizacyi i przyszłości na wschodzie podtrzymując i podnosząc tam Unię, a to państwo (cette puissance) nazywa się książę Adam Czartoryski i generał Zamoyski".

możemy powaśnionych pogodzić, nakłaniając Madziarów do zapewnienia Słowianom wszelkich swobód konstytucyjnych, a tych przekonywając, że dalszy ścisły związek z Madziarami jest dla nich najkorzystniejszy (sic).

„Do tej wielkiej misyi namówiłem syna JW. Pana Dobrodzieja. Książę Wł. Sanguszko, książę Jerzy Lubomirski i kilku innych najznakomitszych deputatów naszych należeć do niej będzie. Jedziemy na Tarnów i Wiedeń, gdzie zebrawszy się, ułożymy plan działań naszych, a ztamtąd do Pesztu udamy się. Formacya legii polsko-słowiańskiej, do której cała emigracya się zaciągnie, pozwoli nam utworzyć w Węgrzech hufiec zbrojny, który naszej interwencyi powagi doda, a który dla przyszłej armii polskiej zawiązkiem się stanie“.

Pierwszym więc celem Bema było utworzyć legion polsko-słowiański, co oczywiście, uskutecznićby się nie dało gdzieindziej jak na ziemi kroackiej i w razie potrzeby wystąpić nawet, jak się zdaje, z medyacyą zbrojną między Węgrami a Kroatami. Jaki zaś był jego cel dalszy, trudno się domyśleć. Być może, iż spodziewał się pogodzonych Węgrów i Kroatów pociągnąć przeciw Rosyanom, ale cały plan spoczywał na mgle i jak Bem przybył do Wiednia, już ta mgła była rozwiana. Kroaci pobici uciekli byli na terytoryum austryackie, gdzie się wkrótce połączyli z armią Windischgrätza. W Wiedniu zaś wrzała rewolucya, a demokracya rządząca w mieście wzywała Węgrów na pomoc. Bem widział, że nie czas myśleć o godzeniu

Słowian z Węgrami i zamiast jechać do Pesztu, przyjął dowództwo rewolucyi w Wiedniu. Gdy po wzięciu Wiednia przedarł się szczęśliwie do Presburga spostrzegł zapewnie wyraźniej jeszcze, że występować ze swoim planem pojednawczym w owej chwili byłoby śmiesznością, ale z drugiej strony owe idee słowianofilskie, które wywiózł był z Francyi i zobowiązania się, jakie zaciągnął względem panów galicyjskich, czyniły mu wstrętnym wszelki projekt formowania legionów polsko-węgierskich, dlatego, iż mogłyby przeciw Słowianom być użyte. Nie przewidywał, że Węgrzy zetrą się niebawem nie ze Słowianami, lecz z Rosyą.

Zapatrywanie się jednak Bema na kwestyę węgiersko-polską było zrazu czysto teoretyczne, i nie byłby się przy niem długo upierał, jak się to później pokazało, gdyby nie zaszła była okoliczność fatalna, która przeniosła na grunt węgierski namiętności, pretensye ambitne i nienawiści stronnictw emigracyjnych i doprowadziła je do scen, jakie się chyba tylko w małych Rzeczpospolitych włoskich odbywały.

Okoliczność ta znana dziś tylko dwom osobom: Kossuthowi, który nawet o wszystkich jej szczegółach dokładnie nie wie i piszącemu. Osoby, które w niej główną rolę grały, a których interesem było zachować rzecz całą w tajemnicy — już nie żyją i godzina sądu historycznego dla nich wybiła. Opowiem też wiernie, lubo nie bez żalu, wszystko co zaszło. Przedtem jednak kilka słów powiedzieć mi należy o wyprawie, której dowództwo Kossuth powierzył był Bemowi. Chodziło o to,

o czem już, jako o gorączkowem życzeniu prezydenta Węgier nadmieniłem wyżej, aby jakąkolwiek choćby malutką korzyść odnieść nad Austryakami dla podniesienia ducha w armii. Owóż, parotysięczny oddział austryacki, pod dowództwem generała Simonicza, błąkał się po prawej stronie małych Karpat na terytoryum węgierskiem, podczas gdy cała armia Windischgrätza, cofnąwszy się do Wiednia, po ucieczce Węgrów z pod Schwechat znajdowała się w murach tej stolicy, Görgöj zamierzył oddział Simonicza otoczyć i do poddania się zmusić; w tym celu wysłał z pod Parendorf jeszcze 4-go listopada dwie dywizye pod dowództem pułkowników Gyion'a i Lazar'a, żeby go zaatakowali, jeden z północy drugi z południa. Nad temi to dwoma dywizyami naczelne dowództwo objąć miał Bem, ale gdy przyjechał na miejsce operacyi, już dwaj węgierscy pułkownicy, manewrując po omacku i tracąc czas na bezowocnych między sobą naradach, dozwolili byli Simoniczowi umknąć w wąwozy karpackie, gdzie ścigać go było już daremnem i Bem wrócił, nic nie zdziaławszy do Presburga.

Tu zaczyna się ów smutny epizod w historyi działań polskich w Węgrzech, o którym tylko co napomknąłem, a który teraz opiszę.

Po wyjeździe Bema na tę pierwszą jego wyprawę w Węgrzech zaszedłem, zwyczajem moim, następnego dnia około południa do sali w mieszkaniu Kossutha, gdzie zbierali się Węgrzy z jego otoczenia. Wszyscy oblegli mnie, pytając, czy nie widziałem polskiej deputacyi, która przybyła do Presburga i przed chwilą przyjętą była przez prezydenta?

Nic o tem nie wiedziałem i była to dla mnie wielka niespodzianka. Węgrzy mnie objaśnili, że jest trzech deputatów; dwóch członków Rad Narodowych ze wschodniej Galicyi, trzeci zaś wysłany z Krakowa jest jakąś znakomitością wojskową; że tym deputatom towarzyszy orszak obywateli i oficerów w mundurach ułańskich, a nakoniec, że przybyli w tym samym celu co my, to jest, układać się z Kossuthem o uformowanie legii polskiej w Węgrzech. Nie wymieniono mi ich nazwisk, ale wskazano mi hotel, gdzie mieszkają.

Poszedłem z tą wiadomością do mojego kolegi i uradziliśmy, że wobec takiej deputacyi, rola nasza skończona, lecz, że nam należy iść do tych panów i powiedzieć im, na czem stanęły układy nasze z Kossuthem. Udaliśmy się więc do ich mieszkania i zastaliśmy w szczupłym pokoiku hotelowym dwóch z pomiędzy owych deputatów galicyjskich. Jeden był mały człowieczek, szczupły, przedwcześnie osiwiały, mówiący cicho, powolnie, trochę, ochrypłym głosem, a po niedługiej rozmowie można było poznać, że należy do bardzo rozrodzonego u nas gatunku safandułów. Drugi był wysoki, ogromnej tuszy, prawdziwy kolos. W oczach jego i na całej twarzy przebijała wielka inteligencya, a ton stanowczy, z jakim przemawiał za obudwu pokazywał odrazu, że towarzyszem swoim obraca jak lalką.

Pierwszym był Wysocki, drugim Józef Dzierzkowski, członek Rady Narodowej Lwowskiej, którego widziałem już był na posiedzeniu tejże Rady. Miał na niem mowę, a lubo przedmiot był suchy,

mówił nader gładko, płynnie, jędrnie i podziwiałem w nim ten dar wymowy, tak rzadki w Polsce. Poprzednio czytałem był kilka jego powiastek bardzo udatnych i nimem go osobiście poznał miałem już o nim wyobrażenie, że jest, co nazywają Francuzi: *un homme d'esprit*, czyli człowiekiem bystrego pojęcia i łatwego dowcipu. Przeszłości jego bynajmniej nie znałem, a tem samem o charakterze jego żadnego wniosku czynić nie mogłem.

Opowiedziałem tym panom treść moich rozmów z Kossuthem i oświadczyłem w imieniu mojem i mojego kolegi, że teraz gdy oni przybyli w solennej deputacyi z Galicyi, my ustępujemy z placu.

— Ale bynajmniej — odezwał się Dzierzkowski—będziemy wszyscy razem składać jedną ogólną deputacyę polską: Wysocki z Krakowa, ja ze Lwowa, Borzęcki z Samborza, a panowie od młodej emigracyi. Zaczęliście bardzo dobrze, prowadźcież rzecz dalej wespół z nami.

Powiedziawszy to, podał nam rękę, a Wysocki powtórzył nam, jak echo, też same oświadczenia.

Co do mnie, to skojarzenie się solidarne z ludźmi, których wcale nie znałem, nie bardzo mi się spodobało, wyznaję to szczerze; instynkt mój zachowawczy, który mnie dotąd strzegł od wszelkich improwizowanych stosunków, zażalił się w głębi mojej istoty, jakgdybym go boleśnie zranił, ale nie widziałem możliwego pozoru, żeby się od tej spółki uchylić. Ci panowie przyjechali do Węgier w charakterze deputowanych z Galicyi i w tymże samym

celu, jaki my mieliśmy przed sobą,—jakże moglibyśmy się odosabniać? Nie było na to sposobu.

Przy końcu naszej rozmowy przybył i trzeci deputat, wyżej wspomniany Józef Borzęcki, prezes Rady Narodowej Samborskiej, jeżeli się nie mylę, wkrótce po nim zeszli się i obywatele, składający orszak panów deputatów, a między nimi ułan jedyny, który w imaginacyi Węgrów w kilku ułanów się pomnożył [1]). Był to książę Józef Woroniecki. Nazajutrz trzej panowie deputaci i my dwaj wysłańcy młodej emigracyi byliśmy razem u Kossutha i oświadczyliśmy mu, że odtąd stanowimy jedną deputacyę polską; Kossuth był bardzo uprzejmym i rozmownym, Dzierzkowski potrafił go nawet kilkoma zręcznymi komlementami w doskonały humor wprowadzić.

Wieczorem zaproszeni przez panów deputatów, byliśmy znowu u nich i zastaliśmy jak poprzednim razem tylko Wysockiego i Dzierzkowskiego. Dali oni nam do przejrzenia różne projekta, tyczące się organizacyi siły polskiej w Węgrzech, urządzenia szkoły wojskowej dla młodzieży polskiej i inne podobne elukubracye, po większej części nie na czasie. Nie śmiałem jednak wręcz tego powiedzieć, owszem pochwaliłem wszystko, aby uniknąć nieskończonej dyskusyi. Wtenczas Dzierzkowski wystąpił z wnioskiem, do którego się wnet i Wysocki przyłączył, ażebym ja jako dosyć poufale już będący

---

[1]) Ten mundur ułański był mundurem gwardyi narodowej konnej we Lwowie, ale ta zaledwo z kilku gwardzistów się składała.

z Kossuthem, projekta te w imieniu ogólnem przedstawił mu i prosił o śpieszną rezolucyę. Wszedłszy raz już w spółkę z tymi panami, trzeba było brnąć dalej—przyrzekłem więc spełnić ich żądanie.

Tu dodać muszę szczegół drobiazgowy na pozór, ale który posłuży do wyjaśnienia następstw, jakie z poruczonego mi przez nich zlecenia wynikły. Dzierzkowski wyszedł do innego pokoju z papierami, podczas gdy ja rozmawiałem z Wysockim. Po chwili wrócił i oddał mi papiery zwinięte w rulon i starannie obwiązane. Wręczyłem je następnego dnia Kossuthowi w dobrej wierze, że nic więcej w nich się nie zawiera jak owe projekta, które mi do przejrzenia dano. Kossuth mi przyrzekł, że wszystko tegoż samego dnia uważnie przeczyta, i oświadczył mi, że nazajutrz wszyscy razem wyjedziemy do Pesztu; przyczem upoważnił mnie zaprosić w jego imieniu tak panów deputatów jak i towarzyszących im obywateli galicyjskich, ażeby wsiedli z nim na jeden statek. A w ciągu drogi, rzekł—przedyskutujemy razem przedstawienia wasze.

Przyszedłszy wieczorem do panów deputatów, zdać im sprawę z mojego widzenia się z Kossuthem, znalazłem ich bardzo rozdrażnionych, a przyczyną tego było, że, przechodząc przed godziną koło mieszkania Kossutha, spotkali Bema, który wrócił do Pesztu i szedł do prezydenta. Przewidywali, że Bem wszystkie ich projekta zepsuje i wyrażali się o nim z wielką goryczą, szczególniej też Dzierzkowski, który miał z nim jakieś zajście w Paryżu, i od tego czasu cierpieć go nie mógł.

Nazajutrz czekaliśmy wszyscy na Kossutha

o naznaczonej godzinie przy statku parowym. Spotkałem tam mojego nowego przyjaciela Tausenau'a, który o mało mi się na szyję nie rzucił. Kossuth przyszedł i skłonił się nam bardzo zimno, jakgdyby nas nie poznał, z nim był Bem, za nimi Bułharyn i Węgrzy z otoczenia prezydenta; wsiedliśmy wszyscy za nim na statek, lecz Kossuth poszedł do swojej kabiny i zamkął się w niej. Czekałem napróżno parę godzin, żeby nas zaprosił na rozmowę, jak był przyrzekł. Pokazał się dopiero, gdyśmy przybyli do Komorna, gdzie wysiadł i dwie godziny tam zabawił. Gdy wrócił, zasiedliśmy do obiadu; przy toastach Bem powiedział mowę po niemiecku, hucznemi oklaskami Węgrów przerywaną. Kossuth mu odpowiedział, ale do nas przez cały ciąg obiadu ani słówka nie przemówił. Widziałem wyraźnie, że coś zaszło, co postawiło między nim a całą naszą deputacyą, jakąś lodowatą przegrodę. Co to było? dojść tego chciałem koniecznie, lecz czekałem długo jeszcze na sposobność zbliżenia się do niego. Po obiedzie zamknął się znowu w swojej kabinie; wieczorem dopiero wyszedł z niej z miną obojętną człowieka, który swoją pracę dzienną ukończył i chce dać myśli wypoczynek. Zbliżył się do stołu, przy którym kilku Węgrów grało w karty; podszedłem ku niemu i powiedziałem mu zcicha, że po wszystkich dowodach uprzejmości jego dla mnie, i gdy na jego wyraźne żądanie od piętnastu dni podróżuję z nim, nie spodziewałem się podobnych oznak lekceważenia i niemal wzgardy, jaką mi dziś okazuje.

— Pan sam temu winieneś — odpowiedział mi sucho.

— Jakto?—krzyknąłem—jakim sposobem?

Kossuth wstał i biorąc mnie na stronę, rzekł:

— Pan mi przedstawiłeś wczoraj dwa nowe warunki do kontraktu, tyczącego się legii polsko-węgierskiej. Warunek pierwszy, ażebym pana Wysockiego mianował generałem i dowódcą legii, a żądanie to opierasz na wysokiem i ogólnem poważaniu, jakiego pan Wysocki używa w emigracyi, z podwójnego tytułu, jako patryota zasłużony i jako oficer, odznaczający się głęboką nauką, znakomitemi zdolnościami wojskowemi i niezaprzeczoną odwagą. Warunek drugi, ażebym panu Dzierzkowskiemu dał przy rządzie węgierskim stanowisko ministra reprezentanta interesów polskich, które to stanowisko ma być odpowiedniem znaczeniu jego, jako członka rady narodowej we Lwowie i sławie, jaką sobie zjednał we wszystkich częściach Polski swoim talentem pisarskim. Owóż dowiedziałem się z bardzo pewnego źródła — nie chciał powiedzieć, że od Bema—iż pan Wysocki jest tylko dawnym podporucznikiem wojska polskiego i że żadnego tytułu nie ma do tego ogólnego poważania, którym, jak pan mienisz, ma być zaszczycanym w emigracyi; że pan Dzierzkowski nie jest czem innem, jak *un chevalier d'industrie* najgorszego rodzaju, żyjący z wyderkafów, z grubych nawet oszustw i którego prowadzenie się prywatne jest ciągłym skandalem. Nakoniec, że ani jeden ani drugi nie są deputatami Galicyi, bo Galicya nie ma żadnego zgromadzenia re-

prezentacyjnego, mogącego wysyłać gdziekolwiek deputatów w imieniu kraju.

Słuchałem całej tej przemowy z rosnącem zdumieniem.

— Kiedyż ja panu przedkładałem te warunki, o których mówisz — wykrzyknąłem z nader bolesnem uczuciem.—Pan się mylisz, ja pana Dzierzkowskiego raz tylko widziałem we Lwowie na posiedzeniu Rady Narodowej i przeszłości jego wcale nie znam, także i pana Wysockiego dopiero tu, w Presburgu, spotkałem, jakżebym mógł obudwu tak wysławiać.

— Chodźże pan ze mną — rzekł Kossuth tonem złagodzonym i wprowadził mnie do swej kabiny.

Na stoliku leżały tam papiery, które mu przedłożyłem w przeddzień; z pomiędzy nich wydobył półarkusik pisma i dał mi go w rękę. Były to owe warunki, które mi przytoczył, ale szerzej rozwinięte i przedstawione Kossuthowi tak w imieniu tych dwóch panów jako i naszem.

— Więc spytałem Kossutha — to pismo było w jednym rulonie z projektami, odnoszącemi się do legii polskiej?

— Nie inaczej—odrzekł Kossuth — wszystkie te papiery, jak pan widzisz są jeszcze razem.

Ręce mi opadły; pomiarkowałem, że Dzierzkowski, wziąwszy projekta, które przejrzałem, niby dla zwinięcia ich i obwiązania sznurkiem, wsunął pomiędzy nie ów półarkusik, zawierający pretensye osobiste obu tych panów, dołożywszy do nich frazes finalny, solidaryzujący mnie i kolegę mo-

z nimi. Ale jakże to było powiedzieć Kossuthowi.... stałem chwilę zmieszany i milczący.

— Widzisz pan — rzekł Kossuth — co to jest zbytnia dobra wiara; można stać się bezwiednem narzędziem jakiejś intrygi, bo widzę aż nadto dobrze, iż pan ani się domyślałeś, żeś mi podał tak wygórowane żądania pana podporucznika Wysockiego i pana literata Dzierzkowskiego, ale teraz muszę panu powiedzieć, że, mając między nami tak znakomitego generała polskiego, jakim jest Bem, który zapewne obejmie naczelne dowództwo naszej armii, bez jego porady nic nie postanowimy względem zamierzonego legionu polskiego.

Ukłoniłem się na to i wyszedłem, bo nie pozostało mi nic innego do czynienia. W salonie ogólnym zastałem Wysockiego, który siedział odosobniony i czatował na mnie.

— No i cóż? — spytał głosem, przytłumionym od wzruszenia, biorąc mnie pod rękę.

Wyprowadziłem go na pokład, gdzie wśród ciemności nocnej mogliśmy mówić bez innych świadków, jak ludzi ze służby statku, którzy się tam snuli.

— Cóżeście zrobili—rzekłem;—nietylko, żeście sobie samym zaszkodzili, ale bodaj czy nie zniweczyliście całego projektu legionów.

Opowiedziałem mu następnie, co zaszło między mną a Kossuthem, osłaniając ile się dało to, co zbyt boleśnie urazić mogło obu panów deputatów galicyjskich. Wysocki, który był dosyć ograniczonego umysłu i bardzo słabego charakteru, tak, że zawsze ktoś drugi nim kierował, ale gdy był zosta-

wiony samemu sobie, miał natchnienia uczciwe i słuchał, co mu szeptał głos honoru, zaczął wyrzekać i rozpaczać zwalając wszystko złe na Dzierzkowskiego.

— On to—mówił—był autorem owej noty z wygórowanemi pretensyami i on ją bez wiedzy mojej wsunął między papiery, które pan miałeś podać Kossuthowi... Teraz nie pozostaje mi—dodał—jak napisać do Kossutha, że chcę być żołnierzem w legionie polskim i żadnej innej rangi ani pragnę, ani przyjmę.

Gdyśmy kończyli tę rozmowę, ukazała się w cieniu ogromna postać Dzierzkowskiego. Wysocki wpadł na niego z wyrzutami, które on obojętnie przyjął.

— I cóż dalej?—rzekł.—Stało się, a wreszcie odpłacimy się Bemowi za jego sztuczkę, bo tam już pełno jest młodzieży, która z nami będzie trzymać.

Wysocki jeszcze czas jakiś się dąsał, ale go Dzierzkowski swojem cynicznem szyderstwem powoli rozbrajał i nim przyjechaliśmy do Pesztu, już go był napowrót pod swój wpływ podgarnął.

W Peszcie, gdzie wszyscy stanęli w jednym hotelu nad Dunajem, zastaliśmy rzeczywiście mnóstwo młodzieży galicyjskiej, z nimi część niecierpliwszą młodej emigracyi, która dała się pociągnąć przykładem Galicyanów, nie czekając na znak od nas i znaczną dosyć liczbę dawnych oficerów Polaków, jednych ze służby austryackiej, drugich nierównie liczniejszych z wojska polskiego z przed 1830 r. Byli to, o ile sobie przypominam, z artyleryi naszej: Łącki kapitan, Bienicki i Stobiecki po-

rucznicy; z piechoty oficerowie różnego stopnia: Idzikowski, Grochowalski, Czernik, Matczyński, Żurowski, oraz nie wiem już jakiej broni: Bleszyński, Wierucki, Żółtowski, Korzeliński, Dunowski i inni. Niebawem przyjechali dawny kapitan czy major kawaleryi Tchórznicki z młodym Janem Aleksandrem Fredro, który mu był pod opiekę oddany i Poniński, dziś generał dywizyi wojska włoskiegó a naówczas młody, dymisyonowany porucznik austryacki, wyszły ze szkoły inżynieryi w Wiedniu.

Mieszkanie nasze stało się jakby kwaterą główną, gromadzących się w Peszcie Polaków. Wszystkim śpieszno było formować bataliony, szwadrony, baterye polskie i wszyscy garnęli się nie około Bema, ale, jak to przewidział był Dierzkowski, koło Wysockiego i koło niego, a centralizacya demokratyczna w Paryżu taki urok wywierała na ówczesną młodzież naszą, że cały ten zastęp, który na początku grudnia już był w Peszcie, uważał Wysockiego za naturalnego, że tak rzekę, dowódcę przyszłej legii, dlatego jedynie, że należał do tej centralizacyi; innego bowiem tytułu do tego nie miał; w Dzierzkowskim zaś widział pełnomocnika polskiego w Węgrzech, nie pytając się, czy miał po temu jaki legalny mandat i czy charakterem swoim zasłużył na podobne zaufanie; dosyć było dla tych młodych ludzi, że był członkiem Rady Narodowej we Lwowie i głośnym demokratą. Dodać należy, że niezaprzeczoną wyższością inteligencyi i wymowy, zdawał się rzeczywiście do takowej misyi nader sposobnym.

Lecz jeżeli zdemokratyzowana młodzież pol-

ska, napływająca do Pesztu, a za jej przykładem i starsi ludzie, nawet oficerowie z przed 1831 roku, kupili się około tych dwóch reprezentantów demokracyi, to z drugiej strony, dla Kossutha, jego ministrów, mianowicie Messarosa ministra wojny i najwięcej wpływowych członków Izby poselskiej węgierskiej, Bem był wyrocznią. Było już rzeczą prawie postanowioną, że dowództwo naczelne armii węgierskiej odjęte będzie Görgöjowi i jemu oddane, a Bem przeciwny z zasady formacyi legii polsko-węgierskiej, jeszcze zażarciej się jej sprzeciwiał od czasu, jak się przekonał, że Wysocki pnie się na na jej naczelnika.

Rząd węgierski uległ jego wpływowi tem łatwiej, że sam przez się niezbyt chętnym był wystawieniu pokaźnej siły polskiej w Węgrzech, mając to zawsze na myśli, że ona ściągnąć może Rosyan Madziarów.

Za przybyciem też Kossutha do Pesztu, Messaros, minister wojny zawiadomił Polaków, iż rząd, przychylając się do propozycyi pierwszej deputacyi lwowskiej, w imieniu której występowali kapitanowie gwardyi narodowej tego miasta Czernik i Matczyński (oficerowie z 1830 roku), pozwala na uformowanie batalionu, a tymczasowo dwóch kompanii polskich, pod dowództwem wyżej wymienionych kapitanów, tudzież jednego szwadronu ułanów i jednej bateryi artyleryi. Przytem rząd pozwala Polakom formować mniejsze oddziały, które będą przyłączane do batalionów węgierskich.

To postanowienie rządowe ubodło niezmiernie Polaków. Dawni oficerowie nasi, pierwsi o niem

uwiadomieni, mieli się zejść u nas na naradę. Pochwyciłem chwilę, kiedy Wysocki był sam w domu i zacząłem pracować nad nim, żeby nie nakłaniał ich do natychmiastowego zerwania z Węgrami, lecz, żeby wprzódy uczynić krok solenny do Bema i spróbować, czy przemawiając do jego patryotyzmu nie potrafimy go nawrócić na naszą stronę w tej kwestyi legionów, która tak zły obrót wzięła a za jego wdaniem się mogłaby jeszcze inaczej być rozstrzygniętą. Podjąłem się wybadać sam, czyby przyjął Bem i jakby przyjął deputacyę, któraby się w tym celu do niego udała. Wysocki długo się wzdragał, nakoniec zgodził się na proponowany przezemnie krok, a ja poszedłem wyszukać Władysława Jordana, adjutanta Bema, ażeby mi w tej sprawie pojednawczej dopomógł. Znałem Jordana od kilku dni zaledwo, ale od pierwszej chwili spostrzegłem, że nie był adjutantem dworakiem, że miał charakter niepodległy, trochę sceptyczny, trochę szyderski, lecz męzki i że przedewszystkiem był dobrym Polakiem. Znalazłem go łatwo, porozumieliśmy się prędko i poszliśmy razem do Bema.

Zastaliśmy go nadspodziewanie dobrze usposobionym. Po krótkiej rozmowie powiedział mi:

— Przyjdźcie do mnie, będę wam bardzo rad i roztrząśniemy razem co jest za i przeciw legii polsko-węgierskiej. Niech przyjdzie i Wysocki, nie jako centralizator, bo z takim do czynienia mieć nie chcę, ale jako młodszy do starszego, jako niższy oficer do generała, a przyjmę go z otwartemi rękami.

Wróciłem do domu przed naradą, o której wy-

żej nadmieniłem i wskutek rozmowy mojej z Bemem, którą Wysockiemu i Dzierzkowskiemu opowiedziałem, naradzano się już tylko nad tem, czy iść do niego, czy nie iść? Wszyscy zgodzili się na to, żeby pięciu czy sześciu z nas poszło do niego w imieniu wszystkich Polaków, będących w Peszcie. Dzierzkowski proszony, żeby należał do tej deputacyi wymówił się, ale nazajutrz, gdy deputaci, w których liczbie i ja byłem, zgromadzili się i gdyśmy już mieli iść do Bema, wziął on Wysockiego na stronę i, uzupełniając zapewne lekcyę, którą mu dał był w cztery oczy, rzekł dosyć głośno:

—Pamiętajże Wysocki, żebyście nie dali się Bemowi otumanić, trzeba z nim trzymać się hardo, przypomnieć mu legiony portugalskie i zagrozić, że jeżeli nam będzie przeszkadzał w formowaniu legionów w Węgrzech, to zaprotestujemy we wszystkich pismach publicznych przeciw jego postępowaniu i wykażemy, że gdy chodziło o jego prywatne korzyści nie wahał się frymarczyć krwią polską, a teraz, gdy z kwestyi węgierskiej wywinie się prawdopodobnie kwestya polska, nie chce, żebyśmy byli gotowi do walki.

— No, bądź spokojny—odrzekł Wysocki—będę ja wiedział, co mu powiedzieć — i tak nastrojony poszedł z nami.

Bem, uprzedzony o naszej wizycie, czekał na nas, przyjął bardzo uprzejmie, podał nawet rękę Wysockiemu.

— Jesteśmy tu panowie *en famille*—rzekł do nas—i zaczęła się rozmowa poufała i ożywiona.

Generał nam powiedział, że nigdy nie był sta-

nowczo przeciwny legionom, ale nie chciał, żeby je formowano od samego początku kampanii węgiersko austryackiej a to z wielu przyczyn. Mianowicie, żeby przy organizowaniu armii węgierskiej nie wprowadzać w nią rozdwojenia, a ztąd anarchii, następnie, żeby nie ściągnąć przedwcześnie Moskali na Węgry, nakoniec, żeby nie podać się w nienawiść Słowianom, których przez tyle lat staraliśmy się ująć sobie i których powinniśmy łagodnie doprowadzić do zgody z Węgrami. Zdaniem jego lepiej jest uformować jeden tylko batalion polski i małe oddziały, porozrzucane po armii węgierskiej, któreby powoli wcielano do tego batalionu i tym sposobem batalion wyrósłby niepostrzeżenie na legion, a legion na armię polską.

Zbijaliśmy ten system różnemi argumentami, szczególniej tem, że zostawiłby nas na łasce Węgrów i że młodzież polska, nie rozumiejąc takiej, trochę zawikłanej polityki, rozeszłaby się z Węgier, zniechęciła w kraju innych młodych ludzi gotowych biedz pod chorągiew polską, i w skutku tego nie byłoby może ani jednego polskiego batalionu.

Tu Wysocki wysunął się niezgrabnie z przypomnieniem legionu portugalskiego i Bem wpadł w zły humor.

— Och! ten legion portugalski *c'est toujours votre cheval de bataille*—odezwał się cierpko i zaczął usprawiedliwiać ten nieszczęsny koncept, lecz rozmowa zwróciła się niebawem znowu do legionu polsko-węgierskiego.

Bem oświadczył nam, że skoro życzeniem ogólnem jest, aby taki legion był bez zwłoki utworzo-

nym, obowiązkiem jego jest przyłączyć się do ogółu, pod warunkiem wszelako, że legion ten będzie uorganizowanym dawnym trybem wojskowym, a nie na zasadzie demokratycznej wyborów na oficerów i podoficerów. Wszyscyśmy się na to zgodzili, prócz Wysockiego, który milczał. Jeden głos się odezwał, żeby choć dowódca legionu był wybrany ogólnem głosowaniem.

— Niechże będzie wybrany—odrzekł Bem —ale wyłącznie przez tych, którzy do legionu mają należeć—chodziło mu zapewne o to, ażeby Dzierzkowskiego od głosowania wyłączyć.

Zgodziliśmy się i na to i już zabieraliśmy się pożegnać generała, gdy Wysocki, który nie chciał odejść, nie wyrecytowawszy swojej lekcyi, wystąpił z napomnieniem do Bema mniej więcej w tych słowach: Niechże generał przyrzeczenia swojego nie zapomni, bo inaczej będziem protestowali i uczynimy generała odpowiedzialnym przed narodem i światem całym za zniweczenie nadziei, które budowaliśmy na sprawie węgierskiej.

Bem nie dał mu skończyć—twarz jego zwykle blada i zimna, przybrała wyraz zajadły.

Takim zapewne był w ogniu bitwy, gdy w Siedmiogrodzie sam jeden rzucał się na działa nieprzyjacielskie; uderzył ręką w stół.

— Tak! krzyknął, protestować, szkalować, szarpać najzasłużeńsze reputacye, to wasze rzemiosło! protestujcież więc i szkalujcie! ja z wami już nic nie mam do czynienia, idźcie precz!...

Nie było podobna naprawić złego, które głupstwo Wysockiego zrządziło. Wyszliśmy ze smut-

kiem w duszy. Wysocki tylko był pyszny, jakby dopełnił wielkiego obywatelskiego obowiązku! W jaki sposób zdał sprawę Dzierzkowskiemu z widzenia się naszego z Bemem i co uradzili we dwóch tego nie wiem, lecz następnego ranka usłyszałem gwar, idący *crescendo* w naszym wspólnym salonie. Zajrzałem tam. Była to młodzież nasza, która się gromadziła na wezwanie, zapewne Wysockiego; niektórzy byli już w mundurach kampanii polskich, które im w przeddzień rozdano. Gdy już salon i korytarze były napełnione, ukazali się dwaj wrzekomi deputaci galicyjscy. Wysocki powiedział mowę do młodzieży tonem zimnym, ale żółć się z niej lała. Była to ciągła diatryba na Bema, którego wystawiał jak intryganta, myślącego zawsze i wszędzie tylko o swoich osobistych korzyściach, na dowód czego przytaczał ową starą i oklepaną historyę legionu portugalskiego, a przystępując do okoliczności obecnych, oskarżał go, że nie wiedzieć w jakich widokach sparaliżował dobre chęci rządu węgierskiego dla Polaków i w niwecz obrócił projekt legionów polsko-węgierskich. Zakończył radą, ażeby młodzież opuściła Węgry, bo nie godzi się Polakom służyć obcym, wprost tylko jak żołdactwo najemne.

Słowa te wywołały między tym tłumem młodych ludzi oburzenie niezmierne; wyszli, wymyślając na Bema i złorzecząc mu; tegoż samego dnia kilkunastu ich opuściło Peszt, ażeby się przemknąć na powrót do Galicyi; ale znalazł się jeden, który postanowił zemścić się za wszystkich. Safanduła Wysocki ani się domyślał zapewne, że w jego wyuczo-

nej mowie jeden z jego słuchaczy wyczerpnie myśl zabójstwa.

W rzeczy samej w parę godzin po zebraniu, o którem tylko co mówiłem, młody jeden galicyanin, nazwiskiem Ksawery Kołodziejski, zjawił się u drzwi Bema pod pozorem, że przychodzi w ważnym interesie. Generał kazał go wpuścić, Kołodziejski zbliżył się na dwa kroki do niego i dobywszy znienacka pistolet, który trzymał w kieszeni, wystrzelił zeń. Kula utkwiła w kości policzka generała. Jordan przytomny tej scenie dobył pałasza i chciał porąbać zabójcę, ale go Bem wstrzymał i pochwyciwszy Kołodziejskiego za kołnierz, krzyknął na służącego, żeby zawołał policyę.

— Wiem czyja to sprawka — rzekł do Jordana—ale trzeba, żeby to sąd sprawdził.

Kilku policyantów przybiegło, ujęło młodego zabójcę i tegoż samego dnia oddany został pod sąd marcyalny.

Jak tylko wiadomość o tym zamachu rozeszła się między młodzieżą polską, zebrała się ona natychmiast na naradę i postanowiła Kołodziejskiego ratować wszelkiemi środkami, a Bema zabić moralnie. Młodzież ta składała się, jak już nadmieniłem wyżej, w większej części z Galicyanów, znających dobrze język niemiecki, którym przeważnie mówiono w Peszcie, to jej dawało możność poruszenia w tej sprawie opinii publicznej po swojej myśli. Jedni z tych młodych ludzi rozbiegli się po biurach gazet, drudzy po kawiarniach, winiarniach i innych miejscach publicznych, a hasłem jednych i drugich było głosić, że Bem jest człowiekiem nader niebe-

piecznym tak dla Polaków jak i dla Węgrów, że ciężą na nim zdrady z r. 1831—nie wahali się zmienić w zdradę świetnego czynu, którym zbawił armię naszą pod Ostrołęką—że w emigracyi życie jego było ciągiem intryg i pan Bóg wie co jeszcze. Co zaś do Kołodziejskiego wystawiali go jak bohatera, który się poświęcił, ażeby Węgrów i Polaków ustrzedz od niechybnej zdrady.

Nazajutrz Kołodziejski doraźnie osądzony, był wystawiony pod pręgierzem, a w 24 godzin później miał być rozstrzelany, ale wszystkie gazety, które wyszły rano, uniewinniały go, a potępiały Bema, powtarzając to, co głosiła młodzież.

Młody winowajca stawiony pod pręgierzem, okuty w kajdany, był przedmiotem ciekawości powszechnej, tłumy ludu cisnęły się, ażeby mu się przypatrzeć. Był to młodzieniec małego wzrostu, trochę zsiadły, ale twarz miał piękną, męzką, z zawiesistym wąsem, a na niej ani cienia obawy lub wyrzutu; wyraz jej był pogodny, śmiały, tryumfujący. Nie trudno mu też było przy pomocy dzienników i ciągłem adwokatowaniu współziomków całą publiczność przeciągnąć na swoją stronę. Gdzież publiczność nie daje się pozorami uwodzić?

Po południu nie można już było przecisnąć się do Kołodziejskiego, tak nabity był ludem plac gdzie on był wystawiony pod pręgierzem, a krzyki *Elien* na cześć jego nie ustawały. Krzyczano nawet przed pałacem prezydencyi: „precz z Bemem! niech żyje Kołodziejski".

Rząd uląkł się tego wybuchu opinii, kazał Kołodziejskiego z pod pręgierza uprowadzić, przetrzy-

mano go kilka dni w areszcie i wypuszczono na wolność [1]).

Zarazem rząd widział się zmuszonym odstąpić od zamiaru powierzenia Bemowi naczelnego dowództwa armii. Wobec tak źle uprzedzonej przeciw niemu opinii stało się to niepodobnem.

Nie dosyć na tem. Rząd, chcąc także i nieukontentowanie Polaków ułagodzić, mianował Wysockiego dowódcą dwóch formujących się kompanii polskich z rangą majora i do tych kompanii przyłączył szwadron ułanów i bateryę artyleryi, lecz w myśli Kossutha, jak się to niebawem pokazało, było pozbyć się jaknajprędzej Polaków z Pesztu. Postrzegł on, że duch niezgody jeszcze nas nie opuścił i niestety! zapewne tak prędko jeszcze nie opuści, bo ma głębokie korzenie w charakterze indywidualnym każdego z nas. U nas to szczególniej co głowa, to rozum; tak zawsze bywało i tak jest jeszcze dzisiaj. Jednak po pierwszych bitwach przekonał się Kossuth, że ten duch niezgody ma swoją przeciwwagę w bohaterstwie Polaków, do wszelkich poświęceń gotowem, którego w sprawach, niedotyczących nawet bezpośrednio ojczyzny, dawali dowody we wszystkich czasach.

---

[1]) Wysocki przyjął go do batalionu piechoty polskiej w Aradzie.

V.

Nadzieje, z jakiemi przyjechałem do Węgier, osłabły były bardzo po wypadkach, których byłem świadkiem, począwszy od ucieczki Węgrów z pod Schwechad, a skończywszy na zamachu Kołodziejskiego na Bema. U ludzi mojego pokolenia—zwłaszcza u najmłodszych między nimi—źródłem złudzeń, które ich na smutne rozczarowania naraziły tak w Węgrzech w 1848 r, jak we Francyi w r. 1870, gdy się wmieszali w tok wypadków, były wspomnienia naszego Listopadowego powstania. Myśleliśmy, że wszędzie gdzie naród występował do walki w obronie swoich praw lub swojego honoru znajdziemy tenże sam zapał ogólny — to zrzeczenie się wszelkich osobistych celów—to poświęcenie się bezwarunkowe sprawie narodowej, jakie widzieliśmy w r. 1830 i 1831 w Polsce. Owóż w Węgrzech trochę odmiennie się działo. Arystokracya i posiadła szlachta w małej tylko liczbie przyłączyły się do ruchu rewolucyjnego. Masy nie rozumiały po większej części o co chodzi—zaciągały się do hon-

wedów i szły do walki na słowo Kossutha—ale bez entuzyazmu. Oficerowie zaś — zarówno ci, którzy dawniej już służyli wojskowo, a tych było bardzo niewielu—jak i ci, którzy rozpoczynali w tej wojnie zawód wojskowy, pojmowali sprawę węgierską nie inaczej tylko jako grę, w której zyskać mogli stopnie pułkowników, generałów, ba, nawet wielki los—to jest buławę wodza naczelnego. Kossuth jeden był uosobieniem czystego patryotyzmu węgierskiego. Na nieszczęście nie miał ani dosyć bystrego oka, ażeby się na ludziach mógł łatwo poznać i ustrzedz od intryg, które się koło niego knuły, ani dosyć silnej woli, żeby trzymać na wodzy charaktery niesforne i hamować nierozważne popędy tłumów. Wszystko to już było widocznem w chwili do której zaszedłem w mojem opowiadaniu i wielce ostudziło moje współczucie dla węgierskiej sprawy, ale był jeszcze inny szkopuł, o który się rozbijały moje nadzieje jako Polaka. Widziałem, że Węgrzy wokoło Kossutha nie radzi byli uformowaniu siły polskiej w ich kraju i zespoleniu dwóch spraw. Zdawało mi się, że i Kossuth przechyla się na ich stronę, a po krwawym zamachu Kołodziejskiego i postępowaniu większej części młodzieży polskiej w Peszcie w tej okoliczności, sądziłem, że wszystkie zachody, aby nawrócić go do naszego projektu byłyby nadaremne; uważałem też misyę moją jako chybioną i chciałem, jakimkolwiek sposobem wydostać się z Węgier, uwiadomić młodą emigracyę o stanie rzeczy w tym kraju i samemu przeczekać w jakim spokojnym zakątku do końca burzy; potem wrócić do kraju, jeżeli by to być mo

gło, nie pociągając za sobą epizodu mniej więcej długiego w cytadeli warszawskiej—lub podróży przymusowej w lodowate kraje.

W tej myśli napisałem do Kossutha list pożegnalny. Nazajutrz otrzymałem od sekretarza jego F. Pulskiego bilecik z uwiadomieniem, że prezydent prosi mnie do siebie na chwilkę rozmowy w południowej godzinie.—Poszedłem do niego — przyjął mnie z tą miłą uprzejmością, jaką mi dawniej okazywał na statku parowym w ciągu podróży naszej pod Wiedeń. Dlaczegóż pan chcesz z Węgier wyjechać?—spytał mnie. Odpowiedziałem mu, że główną tego przyczyną jest rozchwianie się projektu, za którym przyjechałem. — Mylisz się pan—rzekł—ten projekt nie jest bynajmniej rozchwiany. Legiony polskie będą w Węgrzech — daję panu na to moje słowo — tylko przyjęliśmy w znacznej części rady Bema, jako rozstropne i bardzo praktyczne. Formujemy na teraz tylko dwie kompanie polskie, bo dla tych dwóch kompanii Rosya nam wojny zaraz nie wypowie, a gdybyśmy ogłosili, że formujemy legiony polskie, byłby to niewątpliwie *casus belli*. Skoro zaś te dwie kompanie będą umundurowane i uorganizowane wyślemy je na prowincyę, a w Peszcie rozpocznie się po cichu organizacya dwóch nowych kompanii i tak dalej. Mówiłem o tem z pułkownikiem Bułharynem, który jest stary żołnierz, poczciwy człowiek, wolny od tych stronniczych uprzedzeń i namiętności, które z emigracyi wieją na młodzież polską w kraju—on będzie ciągłym organizatorem tych kompanii polskich, jednej po drugiej. Przytem wszystkie oddziały polskie piechoty, ka-

waleryi i artyleryi, które z początku rozrzucone będą po wojsku węgierskiem w danym czasie połączą się z uformowaną już legią; tym sposobem stanie korpus polski.

Zmiękłem po takiem wyjaśnieniu rzeczy, chwyciłem rękę Kossutha i ścisnąłem ją serdecznie. „Widzisz pan—powiedział mi — że nie miałeś żadnego słusznego powodu do zniechęcenia się. Ja zaś liczyłem i liczę na pana, że zechcesz oddać wielką usługę sprawie węgierskiej, a tem samem i sprawie polskiej, podejmując się misyi do Francyi, o której mówiliśmy dawniej.—Ja o niej myśleć nie przestałem i owszem dziś nierównie więcej przywiązuję do niej wagi, niżeli wtenczas, kiedym pierwszą myśl jej powziął w ciągu podróży naszej na Dunaju, bo od tego czasu trudności i niebezpieczeństwa ogromnie się wzmogły wokoło nas".

Na to wezwanie tak pochlebne odpowiedziałem Kossuthowi, iż skoro sądzi, że mogę podwójnej sprawie węgierskiej i polskiej użytecznie posłużyć, gotów jestem jechać do Francyi i dołożę wszelkich usilności, ażeby godnie odpowiedzieć jego zaufaniu.

Wtenczas wytłómaczył mi szczegółowo czego żąda odemnie. Najprzód co się tyczy werbowania dawnych oficerów polskich do służby węgierskiej powtórzył mi, że należy mi się znosić z hr. Telekim, posłem węgierskim w Paryżu, prócz dwóch osobistości, które mam w jego własnem imieniu uprosić, ażeby talenta swoje sprawie węgierskiej poświęciły, to jest generałów Dembińskiego i Mierosławskiego. Pierwszemu ofiaruje znaczne dowództwo, prawdopodobnie naczelne armii węgierski-

drugiemu rangę pułkownika w sztabie głównym z perspektywą, że może prędko wyżej postąpić, jeżeli okaże zdolności, odpowiednie wyższemu stanowisku. Co do drugiego interesu, o którym także dawniej mi już mówił, to jest sprowadzenia do Węgier broni zakupionej w Anglii i w Belgii, prosił mnie, żebym hr. Telekiemu zawiózł te ustne instrukcye: 1) że dziś nie ma innej drogi dla sprowadzenia tej broni jak morzem do portu kroackiego Fiume, gdzie naprzeciw tej wysyłki—jeżeli będzie o niej zawczasu uprzedzonym—wyprawi Perczela z korpusikiem partyzanckim; 2) że na tymże samym statku możnaby wyprawić oficerów polskich i młodych ludzi z nowej emigracyi, którzyby chcieli jechać do Węgier i że tych ostatnich należałoby uzbroić na morzu, ażeby za wylądowaniem w Fiume mogli w połączeniu z korpusem Perczela bronić transportu; 3) że ponieważ podług wiadomości przed kilkoma już tygodniami otrzymanych przez rząd Węgierski, Piemont gotuje się do nowej wojny przeciw Austryi, jest więc bardzo prawdopodobnem, że z chęcią by użyczył statku wojennego na przewóz broni i emigrantów polskich, bądź z Marsylii, bądź z Genui lub z portu Spezia do Fiume, byleby hr. Teleki dołożył potrzebnych po temu starań—w czem i ja mógłbym mu być pomocnym — a hr. Teleki usługi moje bez wątpienia z wdzięcznością przyjmie.

Kossuth dodał, że jeżeli mi nie daje instrukcyi, pisanych dla posła węgierskiego, to przez ostrożność, konieczną w interesie tak wielkiej wagi, ale mi da list do mnie wystosowany w takich słowach, że mu zaufać każe wszystkiemu co mu powiem.

W końcu uprzedził mnie, że nie będę mógł wyjechać prędzej jak za 8 lub 10 dni, ponieważ on pierwej widzieć się potrzebuje z Perczelem—naówczas nieobecnym w Peszcie i naradzić się z nim, w jakich warunkach przetransportowanie broni, o którą mu przedewszystkiem chodziło, byłoby możebnem z Fiume do Pesztu — przytem złożyć chce jeszcze radę z ministrami czy nie ma innych interesów do załatwienia we Francyi i w Anglii, wszystkie zaś te kwestye wymagają namysłu.

Wróciwszy po tej długiej rozmowie z prezydentem Węgier do mojego mieszkania, rozważałem na zimno położenie, w jakiem mnie rezultat jej postawił. Puszczałem się na drogę politycznych awantur, bez wielkich złudzeń, mianowicie co do patryotyzmu Węgrów i energii Kossutha—jak się już poprzednio pod tym względem rozpisałem—i wiedziałem dobrze, że w razie gdybym był schwytany w przeprawie przez Galicyę będę niechybnie rozstrzelanym lub powieszonym podług praw marcyalnych, a gdybym się ustrzegł podobnego niebezpieczeństwa—jeżeli sprawa węgierska upadnie, to zostanę tułaczem. Lecz parę tysięcy Polaków było już wplątanych w sprawę węgierską i sprawy tej nie miałem żadnego gruntowego powodu uważać za straconą ani nawet za niebezpiecznie zagrożoną. Rząd austryacki nie miał stałego gruntu pod nogami, na żadnym bowiem z ludów monarchii polegać nie mógł; przytem najrozmaitsze wpływy nim miotały, a armia, która pozostała mu była wierną trzymała się biernie, od zajścia pod Schwechat jakby nie czuła się na siłach Węgrom podołać bez znacz-

nego wzmocnienia się. Korzystając z tej przerwy w kampanii, Węgrzy przygotowywali się dosyć czynnie do odporu. W takich okolicznościach generał energiczny, śmiały i zręczny za jakiego uważanym był Dembiński i kilkudziesięciu oficerów polskich sprowadzonych z Francyi mogli przeważyć szalę wojny na stronę Węgier; zwłaszcza, że Piemont gotował się do nowej wojny z Austryą, która ogromną dywersyę zrobić mogła na ich korzyść.

Z tych wszystkich względów wycofać się ze sprawy węgierskiej, gdy sposobność mi się nastręczyła, być jej użytecznym, byłoby wprost zbiegostwem. Nie przeszło mi też to wcale przez myśl. Po rozwadze jak i przed rozwagą byłem zrezygnowany, stawić życie moje na grę w tej misyi hazardownej, którą mi Kossuth poruczał. Wysocki, przed którym zataić nie mogłem, że jadę do Francyi i w jakim celu — byłoby to bowiem niesłuszną podejrzliwością z mojej strony—nalegał na mnie, ażebym za przybyciem do Paryża zniósł się z centralizacyą demokratyczną, która, mówił mi, przedstawia większość emigracyi i najenergiczniejsze jej żywioły. Przyrzekłem mu to, bo ani wtenczas, ani później do żadnego stronnictwa nie należałem i pewny byłem, że wszystkie pod chorągwią Polską łatwo się połączą. Zresztą potrzebowałem się zetknąć z centralizacyą, choćby ze względu na Mierosławskiego, którego ściągnąć miałem do Węgier. Nadmieniłem o tem Wysockiemu.—Rozśmiał się.—Byleby Mierosławski—rzekł mi—nie chciał swoich wynalazków wojennych, swoich kozłów i barykad przenośnych zastosowywać w Węgrzech, bo okryłby

śmiesznością siebie i nas. Wogóle sąd jego o tym współzawodniku swoim do hetmańskiej demokratycznej buławy nie był wcale pochlebny.

W parę dni po mojem widzeniu się z Kossuthem spotkałem Wł. Jordana. Zbliżył się do mnie i, podając mi rękę, rzekł z ironicznym uśmiechem: „Jedziesz do Francyi werbować generałów naszych do ocalenia Węgier". Przyznałem mu, że tak jest i nie potrzebowałem się pytać zkąd miał tę wiadomość; widocznem było, że od Bema, który był jeszcze w Peszcie i zawsze w zażyłości z Kossuthem. Szliśmy czas jakiś razem, Jordan ciągle mi o misyi mojej mówił w sposób żartobliwy — nagle odezwał się—wiesz co najzabawniejsze w tem, oto, że i ja jadę do Francyi w takiejże samej misyi.—Jakto spytałem zdziwiony, także od Kossutha? Nie, odpowiedział mi, od Bema.—Ach rozumiem—rzekłem—Bem myśli, że ja samych demokratów chcę nasłać Węgrom. Widział mnie ciągle z Wysockim i Dzierzkowskim i zapewne sądzi, że z niemi trzymam ściśle.—Nie inaczej, odrzekł i wybić mu tego z głowy nie mogłem. Mniejsza o to, powiedziałem i owszem, wierz mi, że cieszę się bardzo, że cię wysyła gdyż coby się mnie samemu nie udało, to nam dwom może się udać, działając zgodnie. Jordan podobnie jak ja nie był człowiekiem partyi. Zgadzaliśmy się dosyć we wszystkiem. Przyrzekliśmy też sobie nawzajem, że jeden bez drugiego nic nie pocznie.

Upłynęło jeszcze kilka dni, w ciągu których słyszałem Kossutha mówiącego w izbie węgierskiej ze zwykłym skutkiem, naprzemian, najgorętszego entuzyazmu i najserdeczniejszego śmiechu w całej

izbie, stosownie do tego, czy poruszał jej struny patryotyczne—czy zabawiał ją żartobliwemi uwagami, następnie byłem obecny przy poświęceniu polskiej chorągwi.

Miły to był obrzęd dla serca Polskiego. Dwie kompanie polskie pięknie umundurowane—po kilku tygodniach ćwiczeń — maszerowały dobrze — robiły bronią nieźle, a żwawe ruchy tej młodzieży i jej fizyonomie inteligentne, tchnące zapałem i odwagą odznaczały ją wśród batalionów honwedów — jak prawdziwie rycerska falanga.

Obie kompanie uszykowały się na placu przed muzeum wśród ogromnego tłumu ludu. Wkrótce przybyła uproszona na matkę chrzestną chorągwi, w zastępstwie chorej żony Kossutha, siostra jego, pani Ruthkay, otoczona w swoim powozie licznym orszakiem oficerów węgierskich. Muzyka wojskowa węgierska zagrała mazura „Jeszcze Polska nie zginęła". Straż chorągwiana przyniosła pani Ruthkay chorągiew, na której pierwszy ćwieczek przybiła, Węgrzy z jej orszaku przybili inne. Nastąpiła cisza, ksiądz poświęcił solennie nasz znak narodowy, pod którym dzielna młodzież polska miała iść do walki — poczem matka chrzestna, wziąwszy go w rękę, oddała go straży chorągwianej, wyrażając życzenie, ażeby prowadził Polaków do zwycięstw, do chwały i do odzyskanej ojczyzny. Na zakończenie Dzierzkowski miał mowę do młodych wojaków, jak zwykle bardzo udaną i powiedzianą głosem donośnym i dźwięcznym.

Czekałem już tylko na dopełnienie tego obrzędu, ażeby się puścić w drogę ku Francyi. W przed-

dzień wezwał mnie był Kossuth i wręczył mi list do mnie adresowany i odnoszący się do mojej misyi. List ten podpisany był przed F. Pulskiego, świeżo mianowanego ministrem spraw zagranicznych na miejsce generała Kazimierza Bathyaniego, który przeszedł do służby czynnej w armii. Dał mi zarazem drugi list, podpisany przez ministra spraw wewnętrznych do komisarza politycznego [1]) w miasteczku nadgranicznem Kesmar u stóp Tatrów, ażeby mi wszelkiemi możliwemi środkami ułatwił przejście granicy między Węgrami a Galicyą. Wziąwszy te papiery pożegnałem z żalem naczelnika rządu Węgierskiego, do którego szczerze się przywiązałem, a którego już więcej widzieć nie miałem, i nazajutrz wyjechałem z Pesztu dyliżansem, w towarzystwie Dzierzkowskiego i dawnego kolegi mojego Kwiatkowskiego, który zniechęcony wszystkiem, co widział i słyszał w Węgrzech, wracał do Galicyi. Obudwom Kossuth dostarczył dosyć hojnie funduszu na drogę.

Jechaliśmy aż do Preszowa tymże samym traktem, którym przyjechałem do Pesztu. W Preszowie poszliśmy odwiedzić znajomego nam Polaka tam osiadłego. Zastaliśmy u niego Łabęckiego emigranta [2]), który trzymał dzierżawkę niedaleko Preszowa pod samemi Tatrami i żył w niej z żoną i kilkorgiem dzieci. Zaprosił on nas do siebie na wie-

---

[1]) Ci komisarze z rozległą władzą ustanowieni byli przez Kossutha.

[2]) Było kilku emigrantów tego nazwiska, jedni byli jego braćmi, drudzy tylko imiennikami.

czerzę i nocleg w sposób tak serdeczny, żeśmy mu odmówić nie mogli i pojechaliśmy z nim razem. W dworku jego drewnianym, bardzo skromnym ale dosyć obszernym, gościło już kilku Polaków. Razem było nas gości siedmiu lub ośmiu i uraczał nas czem miał pod sercem—tak bywało u niego ciągle, od początku poruszenia polskiego w sprawie węgierskiej. Dom jego był istnym karawanserajem dla przechodzących z Galicyi do Węgier i z Węgier do Galicyi, ale ta gościnność zrujnowała go ze szczętem i później widziałem go we Francyi w ciężkiej biedzie.

Dowiedziawszy się, że jadę z misyą do Francyi i mam się przemykać przez Galicyę, wziął mnie na stronę i powiedział mi: „Nie potrzebujesz wlec się przez Galicyę rzemiennym dyszlem od obywatela do obywatela, narażając się na to, że w niejednem miejscu źle cię przyjąć mogą, albo nawet odprawić z kwitkiem, coby cię postawiło w nader niebezpiecznem położeniu. Ja mam stryja, mieszkającego kilka mil od granicy węgierskiej ku Krakowowi—jest to najpoczciwszy człowiek na świecie, do którego ci dam list. Dostań się tylko do niego, a możesz być pewnym, że cię przyjmie jak ojciec i odeśle do samego Krakowa“.

Podziękowałem mu szczerze za tę przysługę. Przenocowałem u niego jakby w obozie, bo wszyscy razem leżeliśmy pokotem na sianie w dwóch izbach i nazajutrz, gdym się żegnał z nim, jego rodziną i zgromadzonymi u niego Polakami, dał mi przyrzeczony liścik do swojego stryja, a ja schowałem go starannie jakby jaki talizman. Wkrótce pokaże się,

na jak okropne niebezpieczeństwo wystawił mnie właśnie zacny Łabęcki swoim optymizmem, myśląc, że każdy ma równie złote serce jak on.

W domu Łabęckiego zostawiłem moich dwóch towarzyszów podróży i pojechałem sam do miasteczka Kesmark. Jest to punkt ważny na drodze handlowej z Węgier do Krakowa i do królestwa kongresowego. Są tam wielkie składy wina, komora celna i obszerne domy zajezdne. Przybywszy do tego miasta udałem się natychmiast do komisarza politycznego i wręczyłem mu list urzędowy, dany mi przez Kossutha. Komisarz, przeczytawszy go uważnie, rzekł mi: „Uczynię wszystko, co będę mógł, aby panu przejście granicy ułatwić, ale nie mogę mu zataić, że zadanie trudne, granica galicyjska jest strzeżona przez trzy kordony mniej więcej uzbrojone. W pierwszej linii stoją zwykli strażnicy pograczni (Gräntzjäger), których liczba ogromnie powiększoną została ostatniemi czasy. Ci pilnują wszystkich dróg, ścieżek i zajmują wszystkie wyniosłości tak, że jeden drugiego widzi i kontroluje.—Za niemi rozstawiony jest Landsturm chłopski, w trzeciej zaś linii są komendy wojskowe we wszystkich miasteczkach i znaczniejszych wsiach, a patrole ciągle chodzą od jednej do drugiej komendy. Każdy przejeżdżający lub przechodzący granicę prowadzonym jest pod eskortą strażników granicznych do takiej komendy, gdzie pokazać musi swój paszport i usprawiedliwić się zkąd, dokąd i w jakim interesie się udaje. Nie dosyć na tem, w całej Galicyi chłopi otrzymali nakaz, aby każdego podróżującego, który by nie był im znanym, chwytali i odstawiali

najbliższej komendy wojskowej; mają obiecaną nagrodę w razie schwytania emisaryusza lub emigranta, co przy znanem usposobieniu chłopów waszych jest dla nich bardzo ponętnem polowaniem. Ażeby wszystkich tych niebezpieczeństw uniknąć widzę tylko jeden sposób, a ten jest wyprawić pana z pierwszym transportem wina, który ztąd wyjdzie do Krakowa. Kupiec i agent, towarzyszący wysyłce, są mi dobrze znani — ułożę rzecz całą z tym ostatnim i dam panu pasport jako pomocnikowi agenta. W tym charakterze zajedziesz bezpiecznie i spokojnie aż do samego Krakowa. Lecz transport nie wyjdzie ztąd prędzej jak za dni piętnaście.

— Och!—wykrzyknąłem—piętnaście dni czekać nie mogę. Wprawdzie zwłoka ta nie mogła bardzo zaszkodzić mojej misyi, ale byłem jeszcze młody, nie przyuczony do cierpliwości i perspektywa przesiedzenia 15 dni w małej węgierskiej mieścinie była dla mnie tak odstraszająca, żem wmawiał w siebie iż mi honor nie pozwala czekać tak długo, jedynie przez wzgląd na własne moje bezpieczeństwo.

Komisarz snać trochę urażony, żem bez namysłu odrzucił jego projekt—rzeczywiście praktyczny—powiedział mi sucho, że skoro mi chodzi o to, żeby bezzwłocznie przejść granicę, to mi da przewodnika, który mnie przeprowadzi przez góry, zarośla i lasy—tylko trzeba mi będzie drapać się po skałach—a w miejscach odkrytych czołgać się. Nie uśmiechało mi się to wcale i spytałem go, czy niema innego jeszcze sposobu—pośredniego między dwoma, które mi podawał, bo po skałach drapać się nie potrafię. Komisarz się uśmiechnął i po chwili na-

mysłu rzekł.—Jest jeszcze jeden, tylko naradzić się nad nim musimy z pewnym obywatelem galicyjskim nagranicznym, który szczęściem dla pana jest właśnie w tej chwili w Kesmarku, gdzie przyjechał dla widzenia się z synem swoim, żołnierzem z polskiego batalionu, przybyłym z Pesztu. Chodźmy do niego.— Poszliśmy do wielkiego zajezdnego domu, gdzieśmy zastali owego obywatela i jego syna. Komisarz opowiedział mu mój interes, a potem swój projekt, który był następujący. Jutro, powiedział, jest dzień targowy w Nowymtargu, dokąd się wybiera, jak zwykle, dużo chłopów z tej strony granicy. Pod pretekstem targu może i pan ten—wskazując na mnie — przejść granicę, ma się rozumieć stosownie przebrany. Dam mu pasport i oddam go pod opiekę znajomego mi gospodarza, na którego włożę ciężką odpowiedzialność za jego osobę. Oto jest wszystko, co mogę w tej okoliczności uczynić. Ale to nie dosyć; zachodzi jeszcze pytanie, gdzie chłop ma tego pana zaprowadzić, przeszedłszy Nowytarg i jakim sposobem odstawić mu wszystkie rzeczy, do niego należące, a których z sobą żadną miarą zabrać nie może? W tem pan jeden, rzekł do galicyjskiego obywatela, możesz nam dać użyteczną radę, a może i pomoc.

Obywatel galicyjski przeprosił mnie, że do swojego domu zaprosić mnie nie może, gdyż wskutek zaawanturowania się jego syna do Węgier i dzisiejszej wycieczki jegoż samego do Kesmark, znajduje się w położeniu nader niepewnem względem władz austryackich, ale mi radził, żebym zaszedł do pana Stadnickiego, mieszkającego pół

za Nowymtargiem, który mnie bez najmniejszej wątpliwości gościnnie przyjmnie i odeśle ku Krakowowi rzemiennym dyszlem. „Pan Stadnicki—mówił mi on—jest to człowiek w wieku i nader zacny. W r. 1846 był okropnie zrabowany i pobity przez chłopów, co jednak nie złamało bynajmniej jego charakteru; do niego więc śmiało możesz się pan udać, a o rzeczy swoje nie potrzebujesz się troszczyć — ja je zabiorę i odwiozę panu do domu pana Stadnickiego—tylko, jeżeli pan masz papiery ważne i kompromitujące, zechciej je dobrze schować, a najlepiej przy pomocy szewca—między podeszwy obuwia".

„A więc zadanie rozwiązane rzekłem — i ze wszech miar bardzo dogodnie. Ścisnąłem rękę jednego i drugiego z prawdziwą wdzięcznością. Komisarz zaprosił mnie na dzień następny na śniadanko ranne i dodał, że u niego dokonam mojej toalety jako hajduk.

Podług tego programu nazajutrz po śniadaniu u komisarza—przebrany za hajduka—w spodniach z koziej sierści, zmieszanej z wełną, obcisłych jak trykoty i które za każdem poruszeniem nieznośnie mnie drapały — w butach zużytych, których fałdy koło kostek piłowały mi ciało,—w krótkim kożuszku z roztworami pod pachami, któremi gdym był w drodze przechodził, mróz tego dnia 12-to stopniowy i na wskroś mnie przenikał, a na dopełnienie przebrania, z twarzą posmarowaną mieszaniną sadła, sadzy i innego jeszcze brudu, co mi nadawało cerę górala—wyruszyłem na moją pielgrzymkę w towarzystwie prawdziwego górala, którego mi

komisarz dał za przewodnika, zapowiedziawszy mu, że jeżeli włos mi z głowy spadnie, to on za to mieniem swojem i skórą odpowie.

Dzień był mroźny, lecz piękny—słońce świeciło w pełnym blasku, a promienie jego łamały się pryzmatycznie w atomach lodowych, zawieszonych w powietrzu. Kiedy wyszedłem za miasto, jeden z najpiękniejszych krajobrazów Tatrzańskich odkrył się przed memi oczyma w śnieżnej powłoce niepokalanej białości; na lewo wzniosłe Tatry z jodłowemi lasy, przystrojonemi jakby w białe draperye; na prawo modra wstęga Dunajca, za nią wśród skalistych wzgórz ruiny Czorsztyńskiego zamku, które zdawały mi się jakby miejscem znajomem, bo niegdyś dzieckiem czytałem z wielkiem zajęciem powieść, zatytułowaną „Zamek na Czorsztynie“; nakoniec przed nami szeroki wąwóz, przez który Dunajec z Popradem wymykają się z Węgier ku Polskiej ziemi i który otwiera widok na rozległą, falowatą, mnóstwem wiosek i gajów ożywioną, Nowotarską równinę.

Przeszliśmy granicę bez trudności. Pasport, jakim mnie opatrzył komisarz z Kesmarku, żadnego nie wzbudził podejrzenia u strażników granicznych, ale to niebezpieczeństwo zażegnane nie było jedynem, z którem spotkać się miałem. Wnet pokazało się drugie, o którem nie myśleliśmy bynajmniej, ani ja, ani komisarz z Kesmarku, ani obywatel Galicyjski. Po drodze przyłączyli się do nas wieśniacy i wieśniaczki, dążący na targ, pojedyńczo, lub gromadkami i starali się zawiązać z nami rozmowę. Mój przewodnik, znajdując się w swoim żywio-

rozgadywał się z innymi gospodarzami o cenach bydła, o urodzajach, o różnych zdarzeniach wiejskich; a mnie zostawił na pastwę kobietom ciekawym i gadatliwym. Owóż wtenczas dopiero postrzegłem, że mój akcent warszawski tak się różni od góralskiego, iż dosyć mi było dwa słowa powiedzieć, aby się zdradzić. Co tu było począć? . . . . Przemyśliwałem nad tem—a kobiety zaczepiały mnie pytaniami—nagle błysło mi natchnienie — zebrałem w pamięci, co tylko mogłem słów węgierskich prawdziwych czy fałszywych: „Serem tem tem, Elien a Kossuth, Elien a Madziar etc“, i w odpowiedzi wypaliłem to jednym tchem. Baby mruknęły. „Dyć to prawdziwy Węgier—to się z nim ani dogadać“, i dały mi pokój. Tym sposobem zaszedłem bezpiecznie do Nowegotargu, a stamtąd do włości pana Stadnickiego, odległej o pół mili, czy milę od tego miasteczka. Zatrzymałem się na wejściu do wsi i wysłałem mojego przewodnika do dworu, ażeby prosił pana Stadnickiego o krótką gościnność dla Polaka, idącego z Węgier, a który się do niego udaje z polecenia pana * *, tu wymieniłem nazwisko obywatela, który mnie do tego nakłonił i snać od odpowiedzialności za to usunąć się nie myślał, skoro miał sam do pana Stadnickiego przyjechać i rzeczy mi przywieźć. Dołożyłem przewodnikowi, że powinien ostrzedz pana Stadnickiego, iż jestem w ubraniu hayduka i że może byłoby dobrze, gdyby mi przysłał jakie okrycie — jeżeli zechce mnie przyjąć—ażebym nie wszedł do jego domu w tem ubraniu; zwłaszcza, że wyjdę w innem.

Po niezbyt długiem czekaniu spostrzegłem

człowieka sędziwego, słusznego wzrostu, idącego ku mnie z moim przewodnikiem. Był to pan Stadnicki. Bez żadnej przedmowy poprosił mnie poważnym tonem, żebym szedł z nim tak, jak jestem ubrany, bo jest pewnym swoich sług i swoich włościan. Zdziwiło mnie to nieco, wiedząc, że był ciężko pobitym i zrabowanym przez chłopów przed dwoma laty, lecz nie pozwoliłem sobie uczynić żadnej nad tem uwagi i poszedłem z nim.

Dom pana Stadnickiego był bardzo skromny— żył on w nim samotnie; niewiem czy był kawalerem, czy wdowcem. Poważny — małomówny—zimny jak Anglik, z początku przejmował mnie chłodem. Myślałem, że jestem dla niego osobą podejrzaną i czekałem niecierpliwie na przyjazd obywatela, któremu powierzyłem był moje rzeczy i który jeden tylko mógł podejrzenia jego rozproszyć. Przy tem zimnem obejściu się był jednak bardzo gościnnym dla mnie. Zaraz po wejściu mojem w jego progi poprosił mnie do swojego gabinetu, gdzie mi ze swojej garderoby przyniósł ubranie, ażeby mnie zwolnić od mojej roli hayduka. Gdym wrócił do jego saloniku zastałem go w rozmowie z młodym jakimś człowiekiem, który, nie mogąc przedrzeć się do Węgier, chciał wrócić do rodzicielskiego domu i prosił pana Stadnickiego o użyczenie mu bryczki i koni, żeby mógł zajechać do najbliższego obywatela. Pan Stadnicki dosyć sucho i z niczem go odprawił. Niebawem drzwi się otwierają i wchodzi.... z wielkiem zdziwieniem mojem Wł. Jordan, który także przyszedł prosić o odesłanie go dalej. Pan Stadnicki odpowiedział mu, że swoich koni użyczyć

mu nie może, ale mu każe wynaleźć podwódkę chłopską, na co się Jordan chętnie zgodził. Przyniesiono podwieczorek. Jordan opowiedział nam, że przeszedł granicę nocą przez góry—bez przebierania się—i zabłąkał się do domu państwa * * * w niedalekiem sąsiedztwie pana Stadnickiego — ostrzegł mnie, żebym ten dom omijał, bo przyjęliby mnie jak włóczęgę, tak, jak jemu się stało. Pan Stadnicki słuchał i nic nie mówił. Jordan wskazał mi, do kogo mam się udać za przybyciem do Krakowa i wkrótce, zobaczywszy, że wózek chłopski zajechał przed dwór, pożegnał gospodarza. Po jego wyjeździe oświadczyłem panu Stadnickiemu, że i ja podobnie jak Jordan nie żądam, ażeby mnie wysłał w dalszą drogę swojemi końmi, lecz tylko, żeby mi raczył podwódkę nastręczyć.

„Za pozwoleniem, odezwał się pan Stadnicki. Jeżeli tym dwom panom odmówiłem koni moich to dlatego, że je dla pana zachowuję, bo przyszedłeś pierwszy do mnie i nie znasz kraju. Jutro po śniadaniu odeszlę cię do znajomego mi domu, gdzie cię gościnnie przyjmą i odprawią dalej. Możesz być o to spokojnym“.

O zmroku dopiero przyjechał obywatel tak oczekiwany przezemnie z moim tłomoczkiem i resztę wieczora przepędziliśmy we trzech bardzo mile. Im więcej poznawałem charakter pana Stadnickiego, tem więcej mnie do siebie przyciągał. Rzadki też to był typ w naszem polskiem społeczeństwie, w którem wszystko, niestety! polega najczęściej na powierzchownych oznakach gościnności, ludzkości, przyjaźni, nawet patryotyzmu. Pan Stadnicki prze-

ciwnie—poważny—zimny—skąpy w słowach—w częstowaniu skromny, okazywał dopiero czynem, jak się później dowiedziałem, że do wszelkich ofiar zawsze gotowy. Nazajutrz, po rannym obiadku, zajechała przed dwór piękna bryczka z dziarskimi końmi, którą odjechać miałem. Pojedziesz pan, powiedział mi mój gospodarz do państwa * * *. Ależ panie! wykrzyknąłem, wszakże mnie Jordan ostrzegał, ażeby ten dom omijać. Nie zważaj na to, odrzekł z lekkim ironicznym uśmiechem. Wstąpisz do państwa * * * na krótki popasik, koni od nich żądać nie będziesz i z tego względu mam nadzieję, że cię źle nie przyjmą, że może nawet zaofiarują ci kawy ze śmietanką na podwieczorek, poznasz ich dom, a potem pojedziesz do panów * * * *, za których ja ręczę. Byli to dwaj bracia, których nazwisko mi wymienił, ale mi wyszło z pamięci, jak większa część nazwisk z tego czasu.

Pojechałem więc od pana Stadnickiego do państwa ***, gdzie w rzeczy samej zostałem dosyć grzecznie przyjęty, zapewne dlatego, żem się w innych warunkach przedstawił, niż Jordan.

Była to dobra szlachecka rodzina, której zachciało się uchodzić za pańską i zawisła w powietrzu, jak trumna Mahometa między szlachtą, od której się odłączyła, a panami, do których się przyłączyć nie potrafiła.—Próżność panowała w tym domu i cechowała się w najdrobniejszych szczegółach, nie mogąc podnieść się do okazałości, ani nawet do elegancyi. Jeżeli patryotyzm był wygnany z tego domu, to dla tego zapewne, że się wydawał państwu *** spospolitowanym i nie modnym.

Od państwa *** zajechałem na szczero-polską gościnność, dobre zrazy z kaszą i wygodny nocleg do panów K., bo zdaje mi się, że od tej litery zaczynało się ich nazwisko. Ugościwszy mnie, chcieli oni z kolei wyprawić mnie do znajomego im domu, za który mi odpowiadali. Gdybym już wtenczas należał do bractwa piszących, byłbym może korzystał ze sposobności zwiedzenia rozlicznych dworów obywatelskich, aby zdejmować obrazki obyczajowe, ale nie zajmowałem się jeszcze tem dosyć niewdzięcznem u nas rzemiosłem, a najazdy podobne na nieznajome mi domy wcale mi w smak nieszły. Miałem ciągle na myśli radę poczciwego Łabęckiego, ażeby zajechać do jego stryja. Sądziłem, że ten stryj nie zbyt daleko od panów K. mieszkać musi, prosiłem ich więc, ażeby mnie do niego odesłać raczyli, jeżeli to jest rzeczą możebną. Odpowiedzieli mi, że nigdy o tym obywatelu nie słyszeli, ani o wiosce, w której mieszka, co nie przeszkadza, że mnie do niego odeszlą, skoro sobie tego tak bardzo życzę. Spodziewali się, że woźnica ich zna wioskę Pana Łabęckiego, ale i on nic o niej nie wiedział. Wydobyłem list synowca jego z pugilaresu, żeby popatrzeć, czy nie ma na kopercie jakiej wskazówki i rzeczywiście wymienioną tam była wioska przyległa. Tę wszyscy znali, była odległą pięć mil od majątku panów K., lecz to nie zdawało się ich bynajmniej frasować, kazali tylko woźnicy wieźć mnie dobrym truchtem, abym przed nocą na miejsce zajechał.

Była już jednak godzina 9 wieczorem, gdyśmy stanęli w owej wiosce, pytamy się o pana Łabęckie-

go i o jego majętność, powiadają nam, że to jest szlachcic zagonowy, który ma swoją chałupę w osadzie, złożonej z takiejże szlachty, lecz za wsią. Była to pierwsza niespodzianka, trochę złowroga, ale pomyślałem, że i szlachcic zagonowy może mieć wózik i konia i odesłać mnie do Krakowa, a niczego więcej mi nie potrzeba. Jedziemy więc do tej osady—składała się z kilkunastu domków, nie wiele różniących się od chałup chłopskich—i zajeżdżamy przed domek pana Łabęckiego. Wnet wyszedł do nas stary człowiek w wyszarzanej kapocie; powiedziałem mu, że mam do niego list od jego synowca; poprosił mnie do izby, wielce zmieszany i—druga niespodzianka—przeczytawszy list przy łojowej świeczce, „ach panie, wykrzyknął!—ja biedny człowiek koni nie mam i pana w domu swoim przyjąć nie mogę. Na miłość Boską, dodał tonem błagającym, na rany Chrystusa, jedź sobie pan dalej, gdzie chcesz, a mnie nie narażaj, żeby mi mój kawałek ziemi zabrali i mnie samego uwięzili". W tej chwili przybył jego synalek, istny parobek i obaj zaczęli mnie naglić, żebym z ich domu natychmiast wyszedł. Wracam do bryczki, nie wiedząc, co z sobą zrobić; proszę woźnicy, wtykając mu pięć reńskich w rękę, żeby mnie zawiózł do najbliższego obywatela, woźnica mi opowiada, że za żadne pieniądze dalej mnie nie zawiezie, bo nie ma na to rozkazu, a koni na swoją odpowiedzialność męczyć nie może. Więc zatrzymaj pieniądze odrzekłem, a zawieź mnie choć do plebanii we wsi przyległej; widziałem tam bowiem piękny murowany kościół. Woźnica zgodził się na to i zawiózł mnie do owej plebanii. Wszędzie świa-

tła już były pogaszone, ledwie znalazłem furtkę w murze, otaczającym plebanię. Dzwonię kilka razy, psy mi tylko odpowiadają; po namyśle, bojąc się, ażeby mnie ksiądz proboszcz nie odprawił w gorszy jeszcze sposób, jak pan brat szlachcic zagonowy, powziąłem heroiczne postanowienie; pytam się woźnicy, czy popasie w karczmie? odpowiedział, że tak— a więc wieź mnie, rzekłem, do karczmy. Przed karczmą stało kilka wózków wiejskich, a w izbie szynkownej było pełno chłopów, wszedłem między nich i, nadrabiając miną, lubo dusza była na ramieniu, odezwałem się: „Chłopcy, jest tu który, coby mnie do Krakowa zawiózł?" Chłopi spojrzeli po sobie i nastąpiła chwila straszliwego dla mnie milczenia. Gdyby jeden tylko powziął był podejrzenie, że przybywam z Węgier, byłby wszystkich podszczuł na mnie i odstawili by mnie do wojskowej komendy. Szczęściem młody jakiś chłopek, z głupowatą miną, nie dał im się długo namyślać. Ja pana zawiozę, zawołał. Byłbym mu się na szyję rzucił, gdybym mógł był iść za naturalnym popędem. Chłopi widząc sprawę skończoną, wrócili do swoich rozmów i niebezpieczeństwo zdawało się minione; tak jednak nie było. Chłopek nie chciał natychmiast jechać, trzeba mu było jeszcze parę godzin popaść. Arendarz ofiarował mi na ten czas izbę gościnną i poprowadził mnie do niej przez inną, przytykającą do szynku, a w niej dwóch żydów leżało na sianie. Nie spali jeszcze i przez drzwi otwarte słyszeli wszystko, co się mówiło w szynku. „*Sie kommen von der Grentze*" rzekł do mnie jeden z nich. Zaprzeczyłem temu z oburzeniem, ale żydów nie przeko-

nałem. „*Sagen Sie was sie wollen, Sie kommen von Ungarn*", rzekł drugi. Jestem zgubiony pomyślałem sobie i przepędziłem dwie czy trzy godziny w okropnej niespokojności. Nakoniec chłopek przyszedł oznajmić mi, że jest gotów i wyjechałem bez szwanku. Żydom zapewne wstawać się nie chciało w nocy, żeby się z chłopami zmówić przeciw mnie—a może też byli poczciwsi, niżelim sądził.

Kilka mil dalej był nowy popas nadedniem w jakiejś mieścinie, gdzie widziałem oddziały piechoty austryackiej, przechodzące przez rynek. Nie wysiadłem już z wózka, lubo mróz krew mi w żyłach ścinał i przebyłem nowe dwie, czy trzy godziny w męczącej niespokojności.

Słońce już było wysoko na niebie gdyśmy zajechali na Kaźmierz. Wtenczas dopiero odetchnąłem swobodnie. Kazałem się zawieźć w Krakowie do osoby, wskazanej mi przez Wł. Jordana, zdaje mi się, że to był pan Nurkowski, nie jestem jednak tego pewny. W każdym razie był to zacny człowiek, poświęcony sprawie narodowej i należący do jakiegoś tajnego komitetu. Zaprowadził on mnie natychmiast do pałacu Wielopolskich, gdzie mi wyjednał bezpieczne schronienie, a następnie opiekował się mną troskliwie przez kilka dni pobytu mojego w Krakowie. Byłem z nim u umierającego generała Prądzyńskiego, którego miałem polecenie odwiedzić i pozdrowić w imieniu Kossutha. Wyraził mi to Pulski w swoim liście, a uznanie to talentów i zasług naszego znakomitego strategika, przychodzące z obcego kraju, było dla niego pociechą na łożu śmiertelnem.

Widziałem się w Krakowie z Władysławem Jordanem i jego bratem Edmundem i ułożyłem się z pierwszym, że jeden na drugiego czekać będzie w hotelu *Zum weissen Adler* w Wrocławiu.

Zacny człowiek, który czuwał nademną w Krakowie, dał mi za przewodnika wieśniaka, gospodarza znanéj poczciwości, poświęconego sprawie narodowéj — należał do ruchu powstańczego w 1846 r., ażeby mnie zawiózł na granicę Pruską i przeprowadził na drugą stronę. Przeprawa była niebezpieczniejszą jeszcze, niż ta, którą odbyłem przez granicę Węgiersko-Galicyjską. Mój przewodnik, zostawiwszy wózek swój z końmi w ostatniej karczmie Galicyjskiej i wziąwszy mój tłomoczek na plecy, zaprowadził mnie nad brzeg Przemszy, rzeczki, dzielącej Szląsk Pruski od Galicyi, postawił tłomoczek mój pod krzakiem i powiedział mi, żebym usiadł na nim, przycupił się i ani znaku życia nie dawał. Sam zaś przeszedł Przemszę w bród, aby sprowadzić z drugiego brzegu przewoźnika z czółnem.

Usiadłem pod owym krzaczkiem ogołoconym z liści i zupełnie przezroczystym, a noc była jasna, księżycowa; śnieg, okrywający pola dodawał jej jeszcze jasności; niebawem usłyszałem tentent kopyt końskich, odwróciłem się i postrzegłem patrol kawaleryi Austryackiej, przebiegający opodal; za nim w kwandrans przebiegł drugi patrol i tak było ciągle przez cały czas mojego czekania, które trwało z półtory godziny. Najniebezpieczniejszą chwilą była ta, gdy się dał słyszeć śród ciszy nocnej plusk wody na Przemszy, a w pełnem świetle księżyca ukazało się czółno przewozowe, zmierzające ku Ga-

licyjskiemu brzegowi. Serce mi drżało, szczérze się przyznaję. Szczęśliwym trafem żaden patrol nie przechodził. Mój przewodnik przybiegł do mnie, zabrał znowu mój tłomoczek na plecy i odprowadził mnie do czółna. Przy pożegnaniu dopiero powiedział mi, żem szczęśliwie uszedł wielkiego niebezpieczeństwa, ale bezpieczniejszej drogi do przeprawienia mnie do Prus nie było. W godzinę później byłem na drodze żelaznej, idącej do Wrocławia, a w południe w Wrocławiu pod Białym Orłem. Był tam już Wł. Jordan i zeszliśmy się u stołu przy obiedzie. Z Jordanem przyszedł był Francuz ruchliwy, gadatliwy, pan Lombard, jeden z redaktorów *National'a*, wysłany do Wrocławia jako *reporter* do wypadków Węgierskich. Mieszkał on także pod Białym Orłem, a Jordan znał go z Paryża. Po obiedzie poszliśmy na cygara do pokoju Jordana i Francuz począł nas wypytywać o nowiny Węgierskie. Jordan, lubiący bardzo drwinkować, rozpowiadał mu niestworzone rzeczy, które Francuz spiesznie notował, później przesłał je do swojego dziennika, wówczas używającego wielkiej powagi jako organ Cavaignac'a i Bastida, i ten je ogłosił. Za *Nationälem* powtórzyły też same nowiny inne dzienniki: Francuskie, Angielskie i Niemieckie i blagi Jordana obiegały całą Europę, z czego później w Paryżu naśmialiśmy się obydwaj, trochę jak studenci po spłatanym figlu.

Zabawiłem parę dni w Wrocławiu, parę dni w Dreźnie, aby odwiedzić miejsca, gdzie upłynęły te lata młodości mojej, które dla urodzonych na szczęśliwszej ziemi są złotemi latami, to jest od

18-go do 20-go roku życia. Po wojnie bowiem 1831 r., wróciwszy od szpady do książki, kończyłem nauki na uniwersytecie w Wrocławiu, a w Dreźnie przepędziłem całe lato 1832 roku, kiedy to miasto, dosyć lube Polakom, było główną stacyą, wielkim karawanserajem, na drodze naszych wychodźców. Możniejsi zatrzymali się tam, byli dla urządzenia, o ile można było, swoich interesów i trochę także w nadziei jakiegoś zwrotu w polityce rosyjskiej, pod naciskiem innych mocarstw. Ubożsi ciągnęli tam z Prus, z Austryi i bardzo wiele także z Królestwa Kongresowego, uciekających przed poborem wojskowym, bo w Dreźnie był komitet, z panią Klaudyną Potocką na czele, który dostarczał emigrantom wszystkiego, czego potrzebowali na dalszą drogę do Francyi. Prócz emigrantów było w temże mieście mnóstwo przyjezdnych za paszportami z różnych części Polski, którzy przybyli tam, ażeby pożegnać się z krewnymi swymi, idącymi na wygnanie. Zgoła stolica Saska wydawała się miastem na w pół Polskiem. Na ulicach, na Brylowskim tarasie, w galeryi obrazów, w muzeach, w teatrze, w Linkische Baden i w malowniczych okolicach miasta, wszędzie słychać było polską mowę i zwykle w tonie dosyć wesołym, tak, że nie jeden Niemiec mógł sobie pomyśleć, że Polacy idą na wygnanie, jakby na zabawę.

Z Drezna zajechałem bez wytchnienia aż do Louvain w Belgii, gdzie stał garnizonem generał Kruszewski, któremu chciałem złożyć moje uszanowanie, jako jednemu z najdzielniejszych Polskich oficerów i dawnemu bardzo znajomemu; przytem z generało-

wą łączy mnie niteczka powinowactwa, słaba wprawdzie, ale od czasu, jak ją poznałem wzmocniona najszczerszą przyjaźnią. Generał dowodził dywizyą kawaleryi, lubo zostawał w randze generała brygady. Rząd Belgijski, przez wzgląd cesarza Mikołaja, nie śmiał posunąć go wyżej. W gościnnym domu państwa Kruszewskich przepędziłem parę dni, podczas których rozstrzygał się los Rzeczypospolitej Francuskiej. Odbywał się bowiem wybór na jej prezydenta. Gdym wyjeżdżał z Louvain wynik ostateczny głosowania nie był jeszcze wiadomy, ale z obliczeń częściowych pokazywało się już, że ogromną większość miał za sobą książę Ludwik Napoleon. Wiedząc jakby pożyteczną mi była w takich okolicznościach rekomendacya do osoby, przeznaczonej do znacznej roli pod rządem Bonapartystowskim dał mi generał Kruszewski list do Aleksandra Walewskiego, którego znał dobrze w 1831 r., gdy byli razem adjutantami Skrzyneckiego. List ten wielce mi posłużył, jak się to pokaże dalej. Z Louvain pociąg parowy zawiózł mnie w parę godzin do Bruxelli, gdziem się pół dnia zatrzymał, ażeby odwiedzić Lelewela i tegoż samego dnia w nocy przybyłem do Paryża, a pierwsza nowina, o jakiej się dowiedziałem, wysiadając z wagonu, była, że w południe książę Ludwik Napoleon ogłoszony został z ganku ratusza prezydentem Rzeczypospolitej Francuskiej, na mocy przeszło 5 milionów przychylnych mu głosów.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Oddział w Łodzi
BIBLIOTEKA Państw. Instytutu Kultury Wsi
Katal. Nr.
Inwent. Nr. 2380

18-go do 20-go roku życia. Po wo
1831 r., wróciwszy od szpady do ksią
łem nauki na uniwersytecie w Wrocła
żnie przepędziłem całe lato 1832 r
miasto, dosyć lube Polakom, było g
wielkim karawanserajem, na drodze
chodźców. Możniejsi zatrzymali się
urządzenia, o ile można było, swoich
chę także w nadziei jakiegoś zwrotu
syjskiej, pod naciskiem innych mo
ciągnęli tam z Prus, z Austryi i ba
z Królestwa Kongresowego, uciekaj
borem wojskowym, bo w Dreźnie b
nią Klaudyną Potocką na czele, l
emigrantom wszystkiego, czego potr
szą drogę do Francyi. Prócz
w temże mieście mnóstwo przyjezd
tami z różnych części Polski, któ
ażeby pożegnać się z krewnymi s
wygnanie. Zgoła stolica Saska w
stem na w pół Polskiem. Na ul
skim tarasie, w galeryi obrazów,
trze, w Linkische Baden i w m
cach miasta, wszędzie słychać
i zwykle w tonie dosyć wesołym
Niemiec mógł sobie pomyśleć, ż
gnanie, jakby na zabawę.

Z Drezna zajechałem bez
Louvain w Belgii, gdzie stał gar
szewski, któremu chciałem złoż
ako jednemu z najdzielniejszy
dawnemu bardzo znajomemu

wą łączy [illegible]
dzie, ale [illegible]
najszczersze [illegible]
kawaleryi. [illegible]
dy. Rząd [illegible]
nie śmiał [illegible]
państwa [illegible]
czas który [illegible]
Francuskie [illegible]
prezydenta [illegible]
teczny [illegible]
z obliczeń [illegible]
mną większe [illegible]
leon. Wie[illegible]
okoliczności [illegible]
nej do zna[illegible]
dał mi ge[illegible]
lewskiego. [illegible]
razem adju[illegible]
mi posłużył [illegible]
pociąg parowy [illegible]
xelli, gdzie [illegible]
dzić Lelewela [illegible]
łem do Paryża [illegible]
wiedziałem, wy[illegible]
łudnie książę [illegible]
z ganku ratusza [illegible]
cuskiej, na mocy [illegible]
mu głosów.

Stanford University Libraries
3 6105 013 573 303

DK
4365
.F34
v.1

CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(650) 723-1493
grncirc@sulmail.stanford.edu
All books are subject to recall.

DATE DUE

PAN 1152